Julian Kawalec

NIKODEM DYZMA NA MANHATTANIE

Ireneusz J. Kamiński str. 5

Atomowa wojna bogów str. 7

OD REDAKCJI

Z uwagi na trudności papierowe i my musimy ograniczyć objętość naszego pisma. Sądzimy, że czytelnicy przyjmą to ze zrozumieniem. Ze swej strony dołożymy starań, aby decyzja ta nie odbiła się na poziomie i rzetelności publikowanych materiałów.

Kamena

LUBLIN 8 VI 1980 NR 12 (706) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY CENA 3 ZŁ

400-LECIE ZAMOŚCIA

W dniach 21—22 maja br. na uniwersytecie w Padwie odbywało się międzynarodowe sympozjum poświęcone 450-leciu urodzin Jana Zamoyskiego oraz 400-leciu założenia Zamościa. Doc. dr Jerzy Kowalczyk z Instytutu Sztuki PAN wygłosił na tym sympozjum referat, którego obszerny fragment publikujemy.

MIASTO IDEALNE

Jerzy Kowalczyk

KONIEC grudnia 1596 roku. Bonifazio Vanozzi, sekretarz kardynała Enrico Gaetano posła papieskiego, przybył z misją dyplomatyczną do Jana Zamoyskiego, kanclerza i hetmana wielkiego koronnego do Zamościa. Do tego miasta, które dzisiaj liczy 400 lat, a wówczas było jeszcze w trakcie budowy. Oto co o nim zanotował Vanozzi w swoim diariuszu:

Dokończenie na str. 9

Ratusz zamojski z końca XVI w (rozbudowany 1629—1651)

Rys. Jerzy Kowalczyk

Być Jandą

— Agnieszka w „Człowieku z marmuru" Andrzeja Wajdy, Elżbieta w „Granicy" Jana Rybkowskiego, Anna w „Bestii" Jerzego Domaradzkiego, Agata w „Bez znieczulenia" i Marta w „Dyrygencie" Wajdy... Nagle, w ciągu niespełna czterech lat, stała się pani znaną i uznaną aktorką filmową. Stworzyła pani bardzo charakterystyczny typ postaci, zresztą nie tylko w filmie, ale również w licznych rolach telewizyjnych i kilku teatralnych. W związku z rolą Agnieszki pisano na przykład: „Była agresywna, kontrowersyjna, zaskakująca na tle tylu nijakich postaci w polskim kinie. Budziła zachwyty i niechęć, nikogo nie pozostawiając obojętnym". A jeszcze pani śpiewa: „Guma" zaprezentowana podczas Opola 77 odniosła wielki sukces wśród publiczności... Proszę, to jest listopadowy numer miesięcznika „Scena" z 1976 r. — pierwsza rozmowa z Krystyną Jandą, młodą aktorką teatru „Ateneum" w Warszawie, niedawną absolwentką tutejszej PWST, zatytułowana „Wejście na scenę". W dwa lata później — nagroda im. Zbyszka Cybulskiego za osiągnięcia artystyczne... Czy ma pani świadomość, że stała się pani najbardziej reprezentatywną dla nowego polskiego kina aktorką?

— Nie mam. Przychodzą też do mnie ludzie i pytają: „Czy pani wie, że jest pani osobowością?" Odpowiadam: „Nie wiem". Ja pracuję normalnie, jak każdy aktor. Gram, jak potrafię najle-

Dokończenie na str. 6

Najpiękniejsza wieś na świecie

Bronisław Kowalski

WIOSNA opieszale wysiaduje pola. Temu z tylu coś się przypomniało, mówi do kobiety: — Dawniej ludzie byli zdrowsi. Żyli dłużej. A teraz pszczół nie ma, much nie ma, mrówek nie ma. Wszystko wytrute. Cały świat ginie.

— Szkoda — odpowiada kobieta — bo taki piękny był.

Pamięć im dokucza. Autobus minął kilka wsi i stanął w Bychawie. Wszyscy wysiadają.

Zaraszów — cztery kilometry stąd. Można iść.

Przy drodze krzyże we wstążkach i w kwiatach sztucznych.

Jutro w kalendarzu Zofija, co kłosy wywija. Nie stanie się to, bo ziąb, zboża ledwie odrosłe. W Zaraszowie mieszka przodujący młody rolnik, nazywa się Piotr Furgal: liczy 27 lat, oczy ma niebieskie, włosy jasne, dłonie, poharatane na kostkach, paznokcie u jednej ręki popękane. Spodnie zielone, zapięte byle jak, z podwiniętymi nogawkami zamiast mankietów. Mówią

Dokończenie na str. 6—7.

z notatnika

25.V. Wróciłem z Karpacza, gdzie Klub Redakcyjny ZG SDP zorganizował dyskusję na temat tygodników. Tygodniki z naszego regionu nie były reprezentowane, a szkoda. Spotkania tego typu najciekawsze są zwykle w kuluarach, gdzie można się lepiej wzajemnie poznać i wymienić poglądy.

Tygodniki wojewódzkie mają różną przeszłość. Jeleniogórski np. przekształcił się z pisma, wychodzącego w powiecie, podobnie kaliski czy piotrkowski. Inaczej jest z pilskim czy słupskim. Tam, podobnie zresztą jak w Zamościu czy w Białej Podlaskiej, zaczynano od podstaw. Profil tych pism dopiero się kształtuje. Wymiana doświadczeń jest bardzo potrzebna.

W dyskusji zwróciłem uwagę, nie ja jeden zresztą, że wśród nowo powstałych tygodników mamy takie, które usiłują być gazetą wychodzącą raz na siedem dni, i takie, które mają, jeśli tak można powiedzieć, przechył społeczno-kulturalny. Konkurowanie z gazetą nigdy nie zakończy się sukcesem, natomiast artykuły publicystyczne często rażą schematyzmem. Współpraca z bardziej doświadczonymi dziennikarzami, ich pomoc na miejscu w dokształcaniu kadr mogłaby być pożyteczna.

Nowe tygodniki wszędzie mają podobne trudności. Przede wszystkim kadrowe i techniczne. Jeśli tygodnik drukuje się w odległości stu, a nawet więcej kilometrów od macierzystej redakcji, zawsze mogą zdarzyć się mniejsze czy większe potknięcia. Ale początki bywają trudne. Przed ok. trzydziestu laty, gdy tworzono dzienniki w Kielcach, Rzeszowie, Białymstoku czy Zielonej Górze, również nie był to proces łatwy. A przecież po latach w miastach tych powstały nawet liczące się w kraju środowiska dziennikarskie. Można oczekiwać, że koło 2000 roku historia się powtórzy. Cierpliwości!

Z redaktorami spotkali się również sekretarze jeleniogórskiego KW, którzy przedstawili niełatwe miejscowe problemy. Województwo jeleniogórskie ma np. rocznie około 10 milionów turystów, a sieć usług to połowa średniej krajowej. W hotelu „Skalnym", wybudowanym przez Francuzów w Karpaczu i zupełnie nie pasującym do otoczenia, przez trzy lata kompletowano kadrę.

W Karpaczu byłem ostatni raz... ćwierć wieku temu. Sporo się tu zmieniło, wiele nowych willi i domów wyrosło, ale drogi pozostały takie, jak wówczas. Wyobrażam sobie, co się tutaj dzieje w czasie sezonu i inwazji samochodowej — z Polski, Czechosłowacji, NRD i RFN.

29 V. Coroczne Święto „Sztandaru Ludu" przekształcone zostało w Białej Podlaskiej w Święto Prasy, które odbędzie się w dniach 21—22 czerwca. Miejscowe władze przygotowały bogaty program, byle tylko pogoda dopisała! Na razie w miastach i wsiach województwa odbywają się spotkania z dziennikarzami. Wczoraj w dwóch takich spotkaniach uczestniczyłem. Pierwsze odbyło się w bialskiej filii warszawskiej Akademii Wychowania Fizycznego i miało raczej kameralny charakter. Podobnie zresztą jak i drugie spotkanie — z nauczycielstwem i pracownikami pionu kultury.

W dyskusji padło pod adresem „Kameny" więcej słów miłych niż krytycznych. A wśród propozycji znalazła się i taka, aby... drukować historię literatury polskiej w odcinkach. Odpowiedziałem, że jak ktoś chce w tej dziedzinie poszerzyć swą wiedzę, może sięgnąć do odpowiednich książek. Później w rozmowie z dr. Danutą Nałęcką, kierownikiem (a ściślej — kierowniczką) Pracowni Rekreacji, wróciliśmy do tego tematu. Niektórzy studenci AWF zdają sobie sprawę z luk, jakie mają w swoim wykształceniu. Warto wśród nich propagować odpowiednią książki. Wychowanie fizyczne powinno się łączyć z ogólnym wychowaniem humanistycznym, zwłaszcza że absolwenci uczelni będą przecież pracować z młodymi.

Na spotkaniu z nauczycielami zaatakowano... seks (nie, nie w „Kamenie"...). Zdaniem jednego z mówców, prasa, zwłaszcza młodzieżowa, poświęca mu zbyt wiele uwagi. (Wśród młodych spotkałem się kiedyś z przeciwną opinią...). Obecni nie rozwinęli jednak tego tematu, więc może był to pogląd indywidualny.

Spotkania spotkaniami, niestety w ślad za nimi nie może następować zwiększenie nakładu pisma.

30 V. Dział miejski „Sztandaru Ludu" w cyklu: „Lublin, jakiego pragniemy" zorganizował w Klubie MPiK dyskusję na temat lubelskiej kultury. Uprzednio przygotowano pytania, z którymi czytelnicy zwracali się telefonicznie. Już pierwsze z tych pytań: „Dlaczego lubelska oferta kulturalna jest uboższa niż w innych województwach, np. słupskim?" nieco dotknęło szefa od lubelskiej (miejskiej) kultury, Edwarda Fila, który zgodził się z tym, że Lublin może mniej zaoferować niż Warszawa czy Kraków, ale w porównaniu z takim np. Słupskiem nie ma się czego wstydzić. Świadczą o tym i spotkania wokalistów jazzowych, i prezentacje, i konfrontacje, i forum filmowe, i konkurs młodych skrzypków, i spotkania plastyczne, i almanach literacki „Akcent". A także organizowany właśnie turniej dzielnic... „Z pytaniem — podkreślił E. Fila — się nie zgadzam. Lublin ma się czym pochwalić, chociaż można dyskutować nad jakością, treścią, formami działania".

Ktoś z sali dorzucił, że ofertę kulturalną można rozszerzyć na województwo i wspomniał o festiwalu kapel ludowych w Kazimierzu i festiwalu pieśni o Ojczyźnie w Kraśniku. Ktoś inny znów zareplikował, że osiągnięć w dziedzinie kultury nie można tylko oceniać w oparciu o festiwale, co zebrani powitali pomrukiem aprobaty. Kolejny mówca temat rozszerzył: „Każdy z pionów kultury coś chce zaliczyć. Utarła się opinia, że skoro zorganizuje się jakąś akcję, to będzie ona zauważalna. A przecież chodzi o pracę na co dzień i taką też pracę powinny dostrzegać środki masowego przekazu".

Dłuższą wymianę zdań spowodowały zasady ustalania cen biletów na popularne imprezy kulturalne. Np. bilet na „Mazowsze" kosztował 250 zł, a na „Californię" — 300 zł. Na „Californię" przedano ponoć wszystkie bilety, a sala w 70 proc. była pusta. Dlaczego? Bo za niektóre bilety płaciły rady zakładowe ze społecznych pieniędzy. „Do kultury trzeba dopłacać" — oto jedna opinia. Druga: „Ale dopłacać do imprez wartościowych". Ktoś zapytał: „A czy nas stać, abyśmy sprowadzali do kraju drogie zespoły zagraniczne?" Inny dorzucił: „Musimy nastawiać się na odbiorcę indywidualnego, a nie zbiorowego. Ktoś chce na przykład pójść na „Mazowsze", ale nie ma biletów, bo wykupiły je rady zakładowe".

Lublin nie ma, niestety, sali na 10 tysięcy widzów, a tylko na dwa tysiące. To podraża koszty. Do „Californii" „Estrada" dopłaciła 76 tysięcy złotych, ale jej się to jakoś bilansuje, bo na innych imprezach zarabia.

Wniosków jak się należało spodziewać, innych nie było, przyszła więc kolej na Teatr im. J. Osterwy i zastępca dyrektora, Krzysztof Torończyk, ekonomista przecież, a nie artysta, musiał się mocno gimnastykować ustosunkowując się do pytań w rodzaju: „Dlaczego teatr zrezygnował z ambitnych poszukiwań formalnych na rzecz scenicznej szarzyzny?" „Dlaczego teatr nie zaprasza do Lublina innych wybitnych scen polskich". W pytaniach przewijała się też troska o to, jak pod względem kadry i repertuaru przygotowuje się teatr, mając w perspektywie tysiącosobową widownię w nowym gmachu. Przejęzyczenie się z-cy dyrektora, że teatr lubelski pod względem dotacji jest „ubogim Kościuszką", wprowadziło nastrój bardziej relaksowy.

Nie chcę tego tematu rozwijać, bo wchodzę w kompetencje naszego krytyka teatralnego, Marii Bechczyc-Rudnickiej, ale głos jednego z dyskutantów muszę zacytować: „Byłem na „Śmierci komiwojażera". Na sali znajdowali się widzowie z klubu złotego wieku i uczniowie szkoły zawodowej w Parczewie. Obie grupy inaczej reagowały. Część widzów starszych opuściła widownię przed końcem, oświadczając, że myśmy przyszli na coś wesołego, a tu jest mowa o śmierci. A sala i tak świeciła pustką. Było mi smutno, a wyobrażałem sobie, jak smutno musi być aktorom... Szczerze im współczułem".

Co grać? Kto ma grać? Jak organizować widownię? Jak zachęcić ludzi, by sami chodzili do teatru? Pytania można mnożyć. A odpowiedź na nie musi znaleźć sam teatr. Dopóki w Lublinie nie będzie studia telewizyjnego, które będzie stanowić magnes dla aktorów, nie liczę na większe zmiany.

W sumie dyskusja trwała długo, zbyt długo. Opuściłem salę klubu po trzech godzinach, a jeszcze sześciu pytań nie tknięto.

W miłej pamięci zachowałem przede wszystkim znakomitą kawę z bufetu. I stosunkowo niedrogą. Warto jednak przychodzić do Klubu MPiK.

31.V. „Jak to jest? — pyta mnie przez telefon anonimowy rozmówca, — przeczytałem wczoraj w gazecie, że lubelskie browary zostały uznane za najlepsze w kraju, zdobyły sztandar przechodni. Niestety ani perły chmielowej, ani trybunalskiego nie mogę uznać za piwa znakomite..." „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma" — odpowiadam, obiecując zarazem, że porozmawiamy z szefem Zakładów Piwowarskich. Kto wie? Może piwo żywieckie incognito produkuje się w naszych browarach?

1.VI. Dzień Dziecka, a tu cały dzień leje jak z cebra. Wyobrażam sobie, ile imprez trzeba było odwołać. Tym razem jednak telewizja popisała się na medal: znakomite programy dla dzieci.

M. A. Jaworski

SZPALTA O SPORCIE

NA wstępie pytanie do naszych Czytelników: czy — wobec zmniejszenia objętości pisma — mamy nadal poświęcać całą szpaltę na sport? Zdania w samym zespole „Kameny" są podzielone, a na spotkaniach dotknęły nas zarzuty, że powtarzamy fakty znane już z codziennej prasy. Tym bardziej więc zależy nam na Waszej opinii, Drodzy Czytelnicy. Napiszcie. Brak odzewu będziemy traktować jako brak zainteresowania tą rubryką.

Towarzyskie spotkanie w piłce nożnej między reprezentacją Polski i Szkocji skończyło się wynikiem 1:0. To, nikłe zresztą, zwycięstwo nie poprawiło nastrojów kibiców. Jedynie trener Ryszard Kulesza czuje się usatysfakcjonowany, bo roczny bilans jego podopiecznych uległ — drobnej, bo drobnej, ale jednak — poprawie. Optymizm, zwykle uśmiechniętego w okienku telewizyjnym, trenera naszej kadry narodowej zaczyna już denerwować. Eksperyment goni eksperyment, a drużyny w pełnym tego słowa znaczenia jak nie było, tak i nie ma.

W tę pamiętną środę można to było zauważyć z całą jaskrawością, kiedy półtorej godziny później mieliśmy możność obejrzenia pojedynku między dwoma najlepszymi drużynami klubowymi Europy — Nottingam Forest i HSV Hamburg. To był finał na miarę finału mistrzostw europejskich w piłce nożnej, nie tylko mistrzostw drużyn klubowych. Pokaz wirtuozerii, zgrania w zespole (obu), taktyki, etc., etc. A bramkarz Nottingam Forest niemal cudem wychodził z najgorszych opresji. Cały zespół wyspiarski wytrzymał w drugiej połowie meczu huraganowe ataki hamburczyków, którzy wszelkimi siłami starali się wyrównać, chwilami przechodził też do kontrofensywy. Mógł przegrać, ale mógł również wygrać to spotkanie nie tylko 1:0...

Nie sam wynik był jednak dla nas, polskich kibiców, najistotniejszy. Spoglądaliśmy na te madryckie zmagania będąc jeszcze pod wrażeniem, niestety nienajlepszym, meczu ze Szkocją. A kiedy mimo woli porównywaliśmy te dwa pojedynki widzieliśmy taką różnicę klas, jak między, dajmy na to, meczem Szombierek ze Śląskiem, a Zadrzewia z Wilgą. Porównanie do Prochu i Neptuna byłoby już komplementem...

I dlatego jeszcze raz trzeba sobie wyraźnie uzmysłowić: przy takim stylu gry nie ma co marzyć o zakwalifikowaniu się do rozgrywek finałowych o mistrzostwa świata w Hiszpanii.

Jedyną nadzieją mogą być tylko juniorzy, którzy w 23 turnieju UEFA ulegli w finale Anglii, i to raczej dość nieszczęśliwie. Ubiegłoroczne doświadczenia uczą jednak, że tych juniorów gdzieś gubimy w drodze do reprezentacji kraju. Gdzie marnują się talenty? W klubach? W knajpach? Warto się nad tym poważnie zastanowić.

Na razie gratulujemy Szombierkom Bytom zwycięstwa w ekstraklasie. Jedna drużyna bytomska otwiera tabelę, a druga ją zamyka. Polonia Bytom zapewne spadnie do drugiej ligi. Natomiast Motor, o czym już wspominaliśmy, w następnym sezonie znajdzie się w gronie drużyn czołowych. Oby nie na rok!

Szczecin w dalszym ciągu nie ma szczęścia. Był czas, że zarówno Pogoń, jak i Arkonia walczyły w ekstraklasie. Arkonia spadła już dawno, Pogoń przed rokiem. Dziś Pogoń jest bliżej końca tabeli grupy I drugiej ligi niż początku. Przegrana Stoczni Szczecin z Bałtykiem Gdynia (i to w Szczecinie!) wskazuje, że ostatnie nadzieje kibiców z miasta Gryfa rozwiały się. Ale rywalizacja między Bałtykiem a Zagłębiem Wałbrzych trwa nadal i trudno przewidzieć, jak się ona zakończy.

To wszystko są jednak lokalne radości i lokalne smutki. Tęsknota za piłką nożną z czasów Kazimierza Górskiego trwa. Ponoć nie ma ludzi niezastąpionych. A jednak! Drugi Kazimierz — Deyna też nie znalazł następcy. Pałasz jeszcze nie jest Lubańskim...

(mj)

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich
Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mańkowski, Zygmunt Mikulski (sekretarz redakcji) członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) Bronisław Kowalski, Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Maciej Podgórski, Waldemar Stępień (fotoreporter) Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" oraz urzędy pocztowe i doręczyciele w terminach:

— do 10 czerwca na III kwartał i II półrocze,
— do 10 września na IV kwartał.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje, organizacje i wszelkiego rodzaju zakłady pracy zamawiają prenumeratę w miejscowych oddziałach RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH" w miejscowościach zaś w których nie ma Oddziałów RSW — w urzędach pocztowych.

Czytelnicy indywidualni opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych i u doręczycieli.

Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „PRASA — KSIĄŻKA — RUCH", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa nr 28 00-958 Warszawa, konto PKO nr 1531-71.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawców instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—16.

Wydawca: RSW „Prasa—Książka—Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN, Unicka 4.

Nr indeksu 30781

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Telefony: sekretariat redaktor naczelny 255-93, dział publicystyki i literacki 275-35.
Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 221; polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Tadeusz Kwiatkowski-Cugow

KIEDYŚ PUSZCZĄ LODY ZIEMIA WYSŁUCHA WSZYSTKICH

Dziadowie moi znali skoczny smyczek szabli
kiedy po żebrach dzwoni jak po strunach
gdy krew wystąpi z brzegów i serce ponagla
i twarzom krzepkim mości dobry sen w całunach

Dziadowie moi znali legendy muzykę
podkowy jucznych koni świtem ponad rosą
obłoki zatracone w koralach brzeziny
poemat białej kory w dłoniach świtu niosąc

Tak nasączeni jałmużną i knutem parli
bez ciężkiej zbroi w poprzek przeznaczenia
nie dając zasnąć ziemi kopytem podkutym
czas cały w skwarze dziejów bez wody i cienia

Ja miałem być ich dzieckiem śmigłym jak trucizna
snu nie znać ni rozpusty i w łożu nie zasnąć
ja miałem być ten który sumieniem jak szablą
zostawi po nich w herbie bochen chleba zapustny

Ja do was tęsknię nocą co nie mija
nadchodzi we mnie smak brzozowej ciszy
ja mam przyjaciół w każdej świata stronie
i wrogów przyczajonych po wilgotnych bramach

ze szpadą za plecami w dygocącej dłoni
sierocej pieśni bez ognia i ciała

Niech dzwoni w moim wierszu damasceńskie słowo
rozdaję pocałunki gwiazdom waszych twarzy

Za moim oknem kochanki zdrożone
siwe synogarlice stukają do szyby
to wiosna stary przyszła do nas strojna
roztopi frazes naszych zimowych wierzeń

Więc ilu miałaś moja piękna bzduro
ilu gościnnie przyjęło kłamstwo twoich ramion
policz wszystkich zapomnij tych których nie było
siostro moja bolesna odrzucona córo

A ilu zabiłeś ty o twarzy dziecka
ilu przegryzło piaskiem swe ostatnie słowa
po ilu została próżnia wypchanego powietrza
i ilu jeszcze karmin twej broni zcałował

Wysoko teraz płyną w sakralnych odzieniach
w ustach odlanych z ciszy nie błąka się słowo
płócienne twarze przyjaciół w strofie światłocienia
odchodzą na dno oka w pamięć stentorową

Przez ucho igielne spustu ilu jeszcze przejdzie
tonąc z dzieciństwem na dłoni w najbarwniejszej zbroi
oto stoi wiosna u twoich drzwi
przysłoni żupanem liści kłamstwa zimowe

Zwykłe kundle poezji spuszczone z łańcucha
ujadają frazami których nikt nie słyszy
bełkocą coś o pięknie żyjąc na śmietniku
wyobraźni pokurcza pomiotła wszechrzeczy

Odchodzą juczne konie huczą niezbite kruki
od wszystkich pijanych graczy telefony dudni
charkot gardeł kołacze do membrany nieba
gołębi już nie ma w kapeluszu z ognia

Ulica bulwar piasek ślady samolotów
policzki wasze rzeźbione alkoholem
z otwartą twarzą w ziemi odpoczniecie
zdawało mi się że wczoraj tęsknilem

Kto z was poetą niech rzuci kamieniem
we mnie gdy karmię ptaki przed odlotem
kto z was poetą niech wypije ze mną
aż do wulkanu który mędrców myli
ja mam przyjaciół w każdej świata stronie
i wrogów przyczajonych po wilgotnych bramach
ja chory obłok w niebieskiej gorączce
rozdaję pamięć płachtom waszych twarzy

Mój mleczny bracie poeto zakurzony
jeżeli jesteś naprawdę dotknij mojej ciszy
mówię do ciebie ja zepsuty ząb
w doskonałej szczęce mieszczańskiej zgryzoty

Poznałem zawiść karłów o zwietrzałych głowach
znoszone oczy błaznów co łzy zamiast śmiechu
mieli na szarych twarzach gdy zeszli ze sceny
całą bzdurę swych zmyśleń zamiast poematów

pędzili po piwnicach zacier chorych pieśni
które już od narodzin kulały krzywicznie
innym ojcom skradzione w chaosie wersetów
spisywali od końca byle tylko znaczyć
nizinny dobry papier pełen cierpliwości
który jak małe dziecko bezradny na przemoc

Otulali się mitem przesypiali strofy
a potem przed zwycięzcą uchylali czoła
jedząc z ręki owoce nieprawego drzewa
śpiewali po trakierniach głosy pełne kurzu
szperając pod stanikiem dawno zmarłych kobiet

Prząśniczko moich nocy muzyko szalona
ty pierwsza od wrzosów od motyli lżejsza
twoje usta bukiet pocałunków
w twoich oczach srebro twego wnętrza

Napięta jest moja śmierć a i życie nie pieszczoch
odłupują się pijane dni po dwa po pięć
wysychają w dłoni wiersze szarozłote

Ja kiedyś siedziałem tu za stołem sadu
razem z wami naokół jak wieniec zapustny
ja kiedyś z wami byłem bliżej niż przez rzęsy
gdy grzywy jałowców wiatr malował w lustrze

Ja kiedyś tutaj byłem bliżej niż na dłoni
czas mnie z wami pojednał i już nie ma śladu
daleko mi do was w szczupłej ciszy dzwonić
nasze drogi zarosły ostatnią balladą

Jeszcze nam się ochwaci jesień zatracona
gdzieś tam w księgach nuty naszych słów odciśnie
stańczy ostatnie godziny ta żniwiarka liści
nim w śniegu nienapisane nasze wiersze utoną

A jeśli kiedyś runę to mnie Wilio otul
upomnij się jak o swego i złóż pod biały kamień
płyń do mnie nurtem wiosny graniem sennych topól
spamiętaj moich wierszy przejrzysty aksamit

Ryt. K. Borowski

DROGOWSKAZY

Tym razem w naszej ankiecie zabiera głos znany pisarz, Julian Kawalec.

JULIAN KAWALEC

GDY myślę, jak mam odpowiedzieć na ankietę „Kameny", przychodzi słowo — korzenie; i zaraz dochodzę do wniosku, że to słowo musiało się zjawić, bo nie może być innego wyboru; że wypowiedziawszy je, chwyciłem niejako siebie i teraz już wiem, że tym, co ono zawiera w sobie, mogę i powinienem określić to, co w moim życiu ważne, główne, co decyduje o moim wzruszeniu, refleksji i ambicji, co jest moją bronią, obroną i przystanią...

Jeśli chodzi o moje życie, korzenie idą na głębokość dziesiątków lat, przebijają lata wojny, sięgają wsi starej, skrzywdzonej i ubogiej; i zanurzają się w kręgu prawd zwykłych i prostych, tak prostych jak stwierdzenie, że ziemia rodzi chleb i że ziemi nie oszukasz, bo jej oszukanie jest oszukaniem samego siebie; i że ziemi nie uprosisz, aby ci okazała łaskę bez twojego potu; jak stwierdzenie, że tyle jesteś wart, ileś zrobił...

Tam mogłeś znaleźć wszystko, co potrzebne, aby unieść życie i nie upaść przed czasem i ujrzeć sens mocowania się z każdym dniem, sens istnienia, który w tzw. szerokim świecie, stając się przedmiotem nadmiernej gadatliwości, bywa wtłaczany w różnorodne, zawiłe formuły, tam objawiał się w zwyczajnej postaci obowiązku tworzenia rzeczy potrzebnych ludziom...

Ta od wieków wytyczona droga od ziemi do bochenka to jak otwarty elementarz, pod dachem nieba, dla wszystkich; mogłeś z niego czytać, nim dotknąłeś książki i mogłeś, jeśli chciałeś i byłeś wierny, nauczyć się uporu i siły, potrzebnej, żeby nie ulec rozpaczy, i nauczyć się cierpliwości, żeby zacząć od nowa, gdy żywioły przyrody lub wojny wszystko zniszczyły...

Ukazywało się też wyraziście to, co zasługuje na szacunek i miłość, to, czemu się masz pokłonić i co powinieneś przygarnąć do swoich uczuć; a więc te wszystkie trudy i znoje konieczne, aby pole stało się chleborodne, twarze zroszone potem, ręce rozbite, sękate, marzenia niespełnione, tęsknoty bezowocne, ale także te wszystkie zadowolenia i radości, które się pojawiają, gdy praca nie poszła na marne i ziemia się odwdzięczała...

Tak więc nakłoniony do szczerego wyznania mojej wiary, wypowiadam słowo — korzenie, albo może lepiej; zakorzenienie; zakorzenienie wbrew nierozważnym podszeptom, że tamto nieważne, że wystarczy osadzić się mocno w dniu dzisiejszym, a następnie, zrzuciwszy niewygodny ciężar własnej kołyski, pędzić ku tzw. świetlanej przyszłości; bez zakorzenienia nie utrzymasz się długo na nogach i nie pójdziesz do przodu, a jeśli pójdziesz, będzie to krok na oślep.

Pamięć, która nieustannie przypomina mi, gdzie są moje korzenie, sprawiła, że nabrałem odwagi i zacząłem pisać książki; temu ośmieleniu sprzyjało to, że nie musiałem rozglądać się po niebie i gwiazdach i szukać tam tematu, gdyż on został mi niejako dany przez tych, z których wyszedłem, i był we mnie i żył ze mną.

Napisałem książki takie, na jakie mnie było stać, ale mogłem je napisać dzięki zakorzenieniu; tak więc książka, będąc wynikiem mojego wysiłku, jest zarazem jakby darem ofiarowanym przez glebę, która odżywia korzenie...

Rozumiem zakorzenienie nie jako wygodną ucieczkę w przeszłość, ale jako działanie pamięci, która, zapuszczając się w odeszły czas, wydziera z niego to, co nie powinno odejść, gdyż jest potrzebne dziś i będzie potrzebne jutro; chodzi mi szczególnie o te wartości moralne, które wypracowała stara wieś; dotyczą one stosunku do pracy, człowieka do człowieka, do słowa — aby praca rzeczywiście oznaczała pracę, a człowiek był mierzony nie tym, co powiedział o sobie, a tym, co zrobił, a słowo było sprzęgnięte z czynem i nie służyło budowaniu pozorów.

Nie ma więc prawdziwej nowoczesności i rzeczywistego postępu bez ustawicznych powrotów w przeszłość...

Zjeżdżają goście...

Julian Kawalec

KTÓREGOŚ dnia, w środę czy czwartek, o świcie, gdy wieś jeszcze spała, ale już się przeciągała na tej szarej granicy snu i przebudzenia, żałosny świński kwik zabrzmiał donośnie i zaraz przycichł i ustał niby fabryczna syrena puszczona na moment przez nieuwagę; po chwili dał się słyszeć drugi kwik który, podobnie jak pierwszy, z bardzo głośnego przemienił się w cichy i ustał.

To był znak, że punktualnie, tak jak zostało ustalone, przystąpiła do pracy kilkuosobowa grupa rzeźników i że z dwóch ran zadanych sztyletem dwóm, uspokojonym przed ciosem pieszczotliwymi słowami i drapaniem w czoło, stukilowym świniom w miejscu, gdzie przednie łapy schodzą się z podgardlem, bluzga już krew do podstawionych naczyń; i że wnet po tej miłej ludzkim sercom świńskiej śmierci zacznie się pospieszne oparzanie sztuk i szybkie, jakby z obawy, żeby świniom nie wróciło życie, wieszanie łbem do dołu, a więc wieszanie odwrotne, które jednak jest porządkiem świńskiej śmierci; a później ćwiartowanie też według odwróconego porządku, bo zaczynane od końca to znaczy od ogona, co jednak jest jakby nowym ładem, który obowiązuje po zabiciu zwierzęcia...

Po rozćwiartowaniu nastąpi gotowanie części lekkich, a następnie wyrób — kiszek krwawych, wątrobianych i kaszanych, kiełbas i Bóg wie czego jeszcze, a pod koniec wyrób tej wspaniałości nad wspaniałościami, mianowicie salcesonu, który przedstawicielom wyższych szczebli smakuje najbardziej z wszystkiego...

To są dobrzy, doświadczeni przedstawiciele i oni wiedzą, że domowy salceson bije wszelkie rekordy, oni naprawdę dadzą się rozweselić i nawet rozczulić kiszką, gotowanym rylem, paprykowanym podgardlem, świeżo wędzoną, ciepłą jeszcze kiełbasą, ale nie do tego stopnia jak salcesonem...

Salceson jest jak hasło które otwiera szczelnie zamknięte, obite miękką skórą drzwi; ten gruby krążek, ta mozaika mięs obwiedziona ciasno białawą, zamgloną błoną, sprawia, że znika duma z twarzy dumnej i smutek z twarzy smutnej, i zamknięte usta rozchylają się w uśmiechu; i sprawia, że człowiek poważny odrzuca swoją powagę i napełnia się wdzięczną ruchliwością, ślini się jak dziecko i mlaska pokornie; wystarczy wypowiedzieć słowo — salceson — aby miejsce złości zajęła dobroć, a mowa ostra przeszła w mowę łagodną...

W dniach przygotowań do godnego przyjęcia zapowiedzianych gości częściej niż zwykle przerywały ciszę równiny przeraźliwe krzyki kur łapanych na ścięcie; bowiem w ożywionej dyskusji, jaka rozgorzała przy ustalaniu mięs, podkreślono, że nie może się obejść bez kurzyny...

Przy zagładzie drobiu, podobnie jak przy sztyletowaniu świń, wyszło na jaw, że na świecie nie jest tak, jak się wydaje, że jest: bo przecież ścięte, oskubane i wypatroszone zostały najpierw te młode kury, które, ciesząc się ogromnie każdym dniem od wczesnego wstanie i zeskoczenia z żerdki kurnika do wczesnego zaśnięcia, nabrały pełnej wiary w ludzi, jadły im z ręki, a żyjąc w niskiej, przyziemnej warstwie powietrza, polubiły stopy człowieka i kładły na nich swoje łapy, albo delikatnie łaskotały je dziobami...

Przygotowania musiały być zakończone przed dniem przyjazdu dostojnych gości, to znaczy przed sobotą; i dlatego też przed sobotą musiał zadzwonić i zadzwonił w wybranej oborze cienki łańcuch, na którym był przywiązany ośmiomiesięczny, jasnobrązowy byczek.

Przy tym byczku także się okazało, że na świecie nie jest tak, jak się może wydawać, że jest; bo okazało się, że to, co się widzi, można nazwać pokrywką tego, co naprawdę jest, ale przychodzi takie coś, jak choćby to zabijanie świń czy kur, i ta pokrywka podnosi się do góry i odpada i wtedy jest to, co rzeczywiście jest, a nie to, co niby jest; ta prawda spodnia zaczyna iść do góry i zrzucać z siebie prawdę wierzchnią, która jest zmyleniem nieraz przy takiej błahej rzeczy jak sprawa z tym ośmiomiesięcznym byczkiem; no bo taki byczek, czując przy swojej grdyce palce człowieka odpinające łańcuch, kombinuje sobie — ten dobry człowiek chce, abym sobie pobiegał w sadzie, o jak sobie pobiegam, puszczę się pędem przez cały sad od płotu do płotu, a może nawet uda mi się przesmykać przez uchylone wrota i wypaść na równinę, popróbuję też czoła na jabłonce, buchnę łbem w drzewo, żeby się przekonać, czy się mnie boi jabłonka..., ale oto dzieje się zupełnie coś innego, człowiek odwiązuje mi łańcuch, bierze mnie na powróz i prowadzi do stodoły. w stodole jakiś obcy człowiek trzyma duży młot, którym wbija się kliny, gdy się rozłupuje grube kłody, ciężka praca czeka tego z młotem, bo nie łatwo jest rozbić kłodę, jednak to zastanawiające, że on nie mija mnie i nie wychodzi ze stodoły, tylko staje przede mną i podnosi młot do góry, co to będzie, co to będzie, jakieś dziwne rzeczy będą się dziać, bo gdzieś zabłysło milion świateł...

Przez uchylone drzwi domu, który stoi na brzegu małego stawu, wydobywa się biały kurz, jakby prószył drobny śnieg, to wcale nie kurz ani śnieg ani żadne cząsteczki gęstego puchu, to mąka, przednia, pszeniczna mąka...

Bo w tym domu odbywa się wypiek specjalnego bochenka, który będzie potrzebny do powitania „chlebem i solą", a także różnych ciast...

Dopiero przy tych drzwiach można sobie odetchnąć, bo za nimi idzie biała, czysta robota, przy której wykonywaniu nie objawia się tak wyraziście przewrotność świata; na to przy wypieku nie ma żadnych przemyślnych zmyleń, żadnych fałszów ani pieszczotliwych słów kata do ofiary, i niczego z tej miłej mowy i namowy, z tych słów-kwiatów, w których ukrywa się sztylet, siekiera i młot; i nie ma też bicia, miotania się, rzężenia, czyli tego jakby zwielokrotnionego życia w śmierci, jakie się widzi i słyszy przed rozpoczęciem przyrządzania mięs...

Ale przecież Miękus, który właśnie wraca z pola do domu, nie może jak niemądry człowiek ślęczeć przy tych prószących białym pyłem drzwiach i sterczeć w pobliżu tej przynoszącej ulgę białej, czystej roboty, bo musi wracać do domu; musi wracać, bo co innego zrobi, musi iść do tego swojego cichego niby grób domu...

Więc idzie i patrzy naokoło i widzi dużego, żółtego w białe łaty psa biegnącego szybko z nosem przy ziemi w stronę płytkiego rowu, do którego rzeźnicy rzucili bezużyteczne odpady, racice, kawałki szczęk z odsłoniętymi zębami, obrzynki skóry, strzępy jelit...

I zaraz dostrzega drugiego dużego psa, czarnego, podpalanego dołem, który stoi nieruchomo z łbem podniesionym do góry i pilnie wyczytuje z powietrza zapachy psującej się krwi; a potem wpada Miękusowi w oczy gromadka psów małych, zdążających w pośpiechu do tych miejsc, gdzie pachnie krwią bydląt i drobiu, wylaną dla uczczenia sobotnich, ważnych gości...

Ma okazję ujrzeć bójki psów dużych, średnich i małych, a także ich ucieczki w wielkim ale zagrożonym szczęściu z ochłapami mięs w pyskach...

I ma też okazję przyglądać się tym najmniejszym i najsłabszym psom, które nie zdążyły przed dużymi psami przybiec po ochłapy i teraz nie są dopuszczone do żadnej racicy, do żadnego obrzynka skóry i jelit; które, drżąc ze strachu i pokwikując z cicha, liżą nasiąkniętą krwią ziemię; i widzi też ten wracający do domu Miękus zrudziałą murawę, mokre pióra w trawie i płaskie łebki kur z otwartymi dziobami, w których sterczą sztywne, zbielałe języki, i wypukłymi oczami, którym odcięto patrzenie; a także stado siwych wron, które kołując w powietrzu i siadając dla odpoczynku na gałęziach wysokiej topoli, czekały, aż z płytkiego rowu i miejsc zrudziałych odejdą psy, jakby wierzyły, że jeszcze tam dla nich coś zostanie, jeśli już nie na odpad, to może odpad odpadu, jakiś kurzy pazur, odpryск racicy albo zwitek mokrej sierści, a nawet w ostateczności grudka ziemi przesiąknięta bydlęcą lub kurzą krwią...

(Fragment powieści przygotowywanej do druku w Wydawnictwie Literackim)

DZIENNIK AMERYKAŃSKI (III)

Nikodem Dyzma na Manhattanie

Ireneusz J. Kamiński

— To pan przyjechał?! — dziwi się pani Kulikowska.

Przed odlotem z kraju niektórzy pytali mnie z uśmieszkiem, czy mam zamiar wracać stamtąd, tutaj dziwią się, że pojawiłem się w ściśle określonym terminie. Okazuje się jednak, że pytanie mojej opiekunki wynika z jej doświadczenia: nasi stypendyści bywają niepunktualni.

Po załatwieniu drobnych formalności idę z panią Kulikowską do pobliskiego banku, gdzie wita nas 10 Murzynek, pięciu Murzynów i dwóch białych pracowników niewielkiej instytucji. Czarne palce sprawnie odliczają „zielone", ich właściciel pyta, czy życzę sobie setkami, czy też drobnicą, pani Kulikowska radzi, bym wziął tego trochę i tamtego.

„I proszę nigdy nie nosić z sobą większej sumy pieniędzy", dodaje widząc, z jakim zadowolonym pośpiechem pakuję dolary do portfela.

2 lutego: weekend, Fundacja opustoszała, czekają mnie dwa dni niespokojnego lenistwa. Przeglądam ogłoszenia w gazecie polonijnej i w miarę lektury tracę poczucie miejsca i czasu. Większość inseratów, jak w „Kurierze Lubelskim", dotyczy pracy: poszukuje się kobiet do opieki nad dziećmi, do prowadzenia gospodarstwa domowego. „Miła rodzina zatrudni na 6 dni w tygodniu kobietę w średnim wieku do pracy domowej. Język angielski nie jest wymagany. Własny pokój i TV". Widać, że zdobycie niańki czy tzw. pomocy domowej to problem światowy, ponadustrojowy, wszędzie rozwiązywany w podobny sposób mizdrzeniem się pracodawców do potencjalnej siły najemnej — kapryśnej, bo zorientowanej w możliwościach rynku.

Ale ten oto tekst, umieszczony na dole strony, otoczony podwójną ramką, wprowadza w świat inny dla mnie, choć na pewno dobrze znany pokoleniu moich rodziców: „Matka Dorota, obdarzona darem jasnowidzenia, przepowiada i doradza. Powie Ci o Twojej przeszłości i przyszłości. Doradzi w rozwiązaniu każdego problemu zdrowotnego, miłosnego małżeńskiego oraz w interesie i w pracy. Pomogła już wielu. Odróci czary i pomoże w nieszczęściu. Mówi po polsku".

Naokoło Manhattan: góry betonu, stali i szkła, elektroniki i 400-konnych „Transam'ów" czy innych „Buick'ów", a gdzieś tam, może na czternastym piętrze klimatyzowanego wieżowca, siedzi sobie matka Dorota i wpatrzona w czarodziejską kulę snuje opowieści o ludzkich losach, od czasu do czasu głaszcząc wypasionego na specjalnych konserwach kota, zgodnie z tutejszym zwyczajem zapewne wykastrowanego, a na dodatek mówi językiem znad Wisły...

A zresztą: cóż to za egzotyka, skoro w samym Lublinie działają takie mateczki, lepiej nawet mówiące po polsku od tamtej Doroty nowojorskiej... Jak dotąd, nie zaskoczyła mnie jeszcze Ameryka. Murzyni? W moim osiedlu też mieszka Murzyn, ożeniony z lublinianką i dzieciaty, podobno sympatyczny.

Ale oto coś ciekawszego znajduję w gazecie. Przypomina co prawda sprawy polskie, ale w nieco innej, poważniejszej postaci. Jest to recenzja pt. „Amerykańska kariera Nikodema Dyzmy", omawiająca film „Being There" (daje się przetłumaczyć na „Wstąpienie na szczyt"), nakręcony przez Hala Ashby, znanego reżysera.

Idę do kina „Coroner", którego adres znalazłem w gazecie: tam leci ów film intrygujący...

...W zamo południe mroźnego, lecz słonecznego dnia lutowego na 68 Street Manhattanu pojawił się tęgawy, średniego wzrostu człowiek, okutany w granatową jesionkę sięgającą poniżej kolan i ozdobioną dwoma wielkimi złotymi guzikami. Głowę jego nakrywał kaszkiet, popularny w jednym z krajów środkowo-wschodniej Europy, ale tutaj nie spotykany. Niewątpliwie, wyróżniał się ten człowiek, zresztą wąsaty, w tłumie lekko ubranych nowojorczyków, wyróżniał się także tym, że szedł ostrożnie, jakby niepewny swojego statusu społecznego. Zerkał spode łba na boki, omijał ludzi o ciemnej karnacji skóry, macał się co chwila po tym miejscu, gdzie zazwyczaj ludzie noszą portfele, ostatni przechodził jezdnie na skrzyżowaniach. Szedł jednak uparcie, jak ciągnik rolniczy, czasami tylko nieruchomiejąc przed wystawami sklepów z mięsem i samochodami; widać, nietutejszy był ten człowiek. Dotarł wreszcie, z planem miasta w dłoni, na szeroką ulicę, przy której stały dwa rozjarzone neonami kina: „Baronet" i „Coroner". Kiedy zorientował się, że bilet wstępu do tego drugiego kosztuje cztery dolary, zawahał się wyraźnie, ale potem machnął ręką i sięgnął tam, gdzie jednak — miał portfel!...

Sala projekcyjna znajdowała się na pierwszym piętrze, ale prowadziły do niej schody ruchome. Stwierdziłem, że przypominałaby lubelski „Kosmos", gdyby w naszym kinie było więcej pluszu i świecidełek na ścianach. Widownia wypełniała się powoli, seans miał się rozpocząć za pięć minut, a tu raptem z piętnaście foteli zajęto.

Tkwiły tam zadbane staruszki i tacy panowie, a ci z nich, którzy siedzieli w rzędach zewnętrznym, przy przejściach pod ścianami, całkiem legalnie zaciągali się papierosami. Kilka osób spluwało dyskretnie miazgą prażonej kukurydzy, którą sprzedawano w bufecie.

Zapowiadało się ciekawie: główną rolę — Chance Gardinera — miał kreować Peter Sellers, ciesząc się towarzystwem Shirley MacLane, Jacka Wardena i Melvyna Douglasa.

Na ekranie pojawił się telewizor obraz telewizyjny i zahipnotyzowany nim Sellers: ogrodnik (gardener) na prywatnej służbie, czyli Gardiner. Nie bacząc na to, że dym mojego „klubowego" budzi zainteresowanie nawet daleko ode mnie siedzących widzów, zacząłem śledzić akcję...

Chance ma lat czterdzieści, od dziecka wychowywał się w tym jednym domu swojego chlebodawcy, oddzielonym od świata wysokim murem. Pielęgnował kwiatki i krzewy, a potem oglądał telewizję: podczas odpoczynku, posiłków, gimnastyki — rano, w wieczór i południe. Tylko tyle wie o życiu, ile przekazał mu telewizor. Jest ograniczony głupkowaty, ale da się lubić. Śmierć swojego pana przyjmuje spokojnie, ostatecznie niejednego nieboszczyka widział na szklanym ekranie, a zaraz po obejrzeniu ciała wraca do swojego pokoju, aby obejrzeć kolejny program telewizyjny, czym degustuje służącą, starszą panią, dotychczas także żyjącą w tej trójosobowej wspólnocie. Gardiner nie orientuje się nawet, że ta śmierć realna zmusi go do kontaktu z rzeczywistością.

No tak, jest pewna zbieżność schematu fabularnego między dziełem Dołęgi-Mostowicza, a tekstem, który słyszę: prostackich bohaterów obu autorów rzuca na szerokie wody krach dotychczasowej ich sytuacji, w pierwszym przypadku uwarunkowany wydarzeniem ogólniejszej natury (kryzys gospodarczy), w drugim — biologiczną koniecznością (zgon chlebodawcy). Różnica: Gardiner jest łagodny i naiwny, Dyzma...

Nasz ogrodnik pakuje manatki i opuszcza dom spokojny. Zaraz na wstępie do samodzielnego życia spotyka go fatalna przygoda: gang młodocianych wyrostków z „kolorowej" dzielnicy szydzi z zaniedbanego jegomościa, a jeden ze szczeniaków strzela mu przed nosem sprężynowcem. Chance (po angielsku „szansa") reaguje jak przystało na dziecko telewizji: wyciąga aparacik sterujący programem, naciska guzik z wiarą, że ten oto niebezpieczny obraz, który ma przed sobą, zniknie natychmiast, rozpłynie się w elektronicznej mgiełce, ustąpi miejsca np. animowanym Flinstonom. Bez skutku! Naciska ponownie — to samo ten sam nóż błyszczy mu przed nosem! Zdumiony, kompletnie zdezorientowany ogrodnik wycofuje się w głąb ulicy. A widownia bije brawo, ja też.

Gardiner włóczy się po mieście, w którym nikogo nie zna, które dziwi go, zaskakuje innym wymiarem realności. W pewnym momencie lekko potrąca ogrodnika luksusowy samochód, prowadzony przez piękną kobietę (Shirley MacLane). I to jest właśnie początek jego obecności w świecie, do którego nigdy by nie trafił jako zwyczajny, biednawy i ograniczony człowiek. Właścicielka wozu zabiera ofiarę wypadku do swojego domu, który okazuje się być pałacem multimilionera, jej męża. Karierą Dyzmy także pokierował przypadek...

Kurują tam Gardinera, niepostrzeżenie zmieniają imię na Chancey i... z rosnącym zainteresowaniem wsłuchują się w oderwane uwagi tego nieznanego człowieka, tak dziwne i absurdalne, że dające do myślenia! Pensjonariusz pałacu zdobywa sympatię milionera (Melvyna Douglasa), któremu niewiele już pozostało z życia. Zyskuje też uznanie samego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który zjechawszy do rezydencji bogacza na konsultację, wysłuchuje — początkowo z irytacją, a potem z uwagą — rad Gardinera na temat, jak kierować gospodarką państwa. Ogrodnik, jak to ogrodnik, mówi tylko: „Po wiośnie następuje lato, po lecie jesień, po jesieni zima", ale brzmi to tak dwuznacznie i sugestywnie, że prezydent dopatruje się w tych słowach jakiejś wielkiej mądrości i powtarza je później w swoim oficjalnym wystąpieniu! Nikodem Dyzma kłania się...

Potem jest jeszcze ciekawiej: schorowany milioner chce, aby po jego śmierci Chancey ożenił się z piękną wdową. Ta zaś przyspiesza nieco bieg wydarzeń, zachęca Gardinera do czynów erotycznych, trafiając w dobrym momencie, zaraz po obejrzeniu przez potencjalnego obiubieńca programu telewizyjnego, zanurzonego w tłustych pocałunkach. Czterdziestoletni chłopczyk bierze się więc do dzieła, całuje spragnioną ogniście, lecz kiedy podniecona kobieta domaga się kontynuacji zasadniczej tych wstępnych pieszczot, odrzuca ją — bo nie widział tego w telewizji, nie wie co robić, a poza tym na ekranie pojawiło się właśnie coś ciekawego. Roznamiętniona dziewczyna pada na podłogę obok łóżka, dokonuje własnoręcznej samorealizacji seksualnej — przy całkowitej obojętności mężczyzny, który w tym właśnie czasie staje na rękach, wykonując ćwiczenia gimnastyczne, polecane przez pana w telewizora.

Gardiner zyskuje coraz większy prestiż, o który zresztą wcale nie zabiega. Prezydent łamie sobie głowę: kto też stoi za tym facetem, którego nikt nie zna — i fatalnie zaniedbuje obowiązki małżeńskie, co widać, bo łamanie odbywa się w łóżku, przy boku żony.

Na cmentarzu, nad trumną multimilionera, politycy amerykańscy najwyższej rangi dochodzą do wniosku, że tylko Chancey Gardiner nadaje się na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ów zaś wlazł w butach do pobliskiego jeziorka, ni stąd, ni zowąd wycofując się z ceremonii pogrzebowej...

LIST Z RZESZOWA

Betonowo i nostalgicznie

Po zimie tynki domów szare, poplamione. Nie ma u nas zbyt wielu zabytków godnych tej nazwy, ale jest patyna. Są konserwatorzy; kosztują słono, choć tam dłubią, premie biorą. Czasem piec z pięknymi kaflami rozpłynie się w powietrzu. Kosztorysy piszą długie, nudne. Gniewają się, jak im kto patrzy na palce. Wyniośle zadzierają głowy do góry, jakby zjedli wszelką wiedzę tajemną. Nie dziwnego, że parę kroków od willi Krajowej Agencji Wydawniczej stoi dom opuszczony, choć zamieszkały, zabytkowy, choć zrujnowany, smutny. We wnęce nad jednym z okien coś, co ma być ozdobą rudery: popiersie Mickiewicza. Poeta ma odbity kawał głowy: wiatr huczy w dziurawej głowie. Czyja w tym głowa, żeby nie huczał?

Do miasta zjeżdżają ostatnio aktorzy czystej wody. W „Emigrantach" Mrożka grał gościnnie Kozień. I był to popis gry renesansowej, rubasznej, przejmującej, śmiesznej, ludzkiej. Przez lata niedoceniany u nas, teraz podziwiany, nawet przez panią, która podobno wszystko wie o teatrze, a jeszcze niedawno Kozienia miała za nic. Cóż, Kozień teraz aktor prawie „zagraniczny", modny, podziwiać go łatwo. Chociaż czemu chodził po scenie w dziurawych skarpetkach?! Wiem, że rola tego wymagała. Coś tu Mrożek przerysował. Na całe skarpetki to jeszcze mimo wszystko na „saksach" można zarobić.

„Niemców" Kruczkowskiego reżyseruje i gra w nich prof. Sonnenbrucha sam Mariusz Dmochowski, postać ze wszech miar okazała. Jest to rzecz, jak wiadomo, o odwadze, sumieniu, chowaniu głowy w piasek. Bardziej mi Dmochowski na hetmana wielkiego koronnego wygląda, lecz skoro się uparł, to i w zalęknionego naukowca się wcielił. Jak się ma ważne posłanie aktorskie, trzeba się trochę pomęczyć.

Kawiarnia Klubu Międzynarodowej Książki i Prasy przekształciła się ostatnio w akwarium dla niegrzecznych dzieci. Uczniowie rzeszowskich szkół średnich siedzą tu całymi dniami, coś tam piją, coś tam palą, mało karczmy nie rozwalą. Bezradne panie z bufetu rozkładają ręce. Nie pomogą prośby, groźby. Dyktatura małolatów hałaśliwa, natrętna, bezczelna. Emeryci, dla których klub bywał spokojną przystanią, nie znajdują tam miejsca. Bywalcy nie bywają, zuchwalcy rozrabiają. Od tej przykrej sytuacji nikt nie chce klubu uwolnić. Alarmowano już milicję, kuratorium, lecz może wystarczyłoby przyjąć szatniarza-mężczyznę o grzecznym, ale stanowczym sposobie bycia...

Rzeszów mimo przemysłowych ambicji ciągle jeszcze ma w sobie urok galicyjskiego miasteczka. Ludzie się znają, ukłony wymieniają, idą powoli. Zresztą tyle tu miast, ile dzielnic. Każda ma swą specyfikę, mimo że prawie wszyscy przywędrowaliśmy tu z większych lub mniejszych wsi. Inaczej się żyje na Budach, inaczej na Baranówce, na Baldachówce, Staroniwie. O sukcesach miasta donosi PAP na pierwszych stronach gazet. Ja tu z grubsza powiem, czego nam brakuje: domu towarowego z prawdziwego zdarzenia, małych kawiarenek, hotelu nowszego niż jest i przestronniejszego. Miastu przybywa stale wieżowców, falowców, mrowiskowców, szaf... Dobrze jednak byłoby, gdyby zadbało także o secesyjne kamieniczki, żeby nie dopuszczało do mazania ich na kolor jajecznicy.

Plastyk miejski chodzi chyba z głową w chmurach, czego to dzisiaj nie wolno artystom, chociażby oni sami siebie generałami sztuki mianowali. A tu trzeba głową w poziomie kręcić: reklamy paskudne, witryny bałaganiarskie zauważyć. Czego nie brak miastu? Dumy. Ludzie tu są ambitni, każdy ma jakąś buławę w plecaku. W cenie odrębność, smak niepowtarzalny kultury. Czasem lepiej zostać prowincją, niż się za wszelką cenę upodabniać do miast monotonnych, nijakich molochów. Zespoły muzyczne, rzeźbiarze, malarze, literaci dbają tu o ochronę lokalnej kultury. Smak swej ziemi i ducha tej ziemi cenią. Mało, a okaże się, że wygrali los na loterii. W świecie banalnie nowoczesnym, niklowo-betonowym coraz częściej szuka się folkloru, autentyzmu, ludzi i rzeczy niepowtarzalnych. Nie oznacza to zamykania okna na nowe. My tu patrzymy przed siebie, ale zaglądamy w głębię studni. Mamy szacunek dla własnej, prześnej przeszłości i to jest może nasz najcenniejszy najszlachetniejszy minerał.

pumex

Kamena str. 5

Być Jandą

Dokończenie ze str. 1

piej, w sztukach czy w filmach, w których mnie obsadzono. Oczywiście, staram się występować w takich rolach, które są mi najbliższe, pozwalają na odkrywanie czegoś nowego w świecie, w którym żyję, i we mnie samej. Co do popularności: różnie to się objawia; na ulicy, na szczęście, przechodzę niezauważona. Ale dostaję za to sporo listów.

— *Od wielbicieli pani talentu?*

— No, powiedzmy. Piszą na przykład bardzo młodzi ludzie, zawiadamiając mnie, że w takim to a takim liceum powstał fan-club Krystyny Jandy. Kiedyś znowu uznał mnie ktoś w liście niekoronowaną królową ruchu wyzwolenia kobiet w Polsce! A tak najwięcej, to przychodzi do mnie listów z tekstami piosenek, napisanymi przez początkujących twórców. Żebym zaśpiewała i wylansowała...

— *Zaraz po skończeniu szkoły teatralnej zagrała pani w telewizyjnej realizacji „Trzech sióstr" Czechowa w reżyserii Bardiniego, a pierwsze role na deskach teatralnych to Aniela we Fredrowskich „Ślubach panieńskich" i Dorian w „Portrecie Doriana Graya" Oskara Wilde'a. U Wilde'a mogę sobie panią wyobrazić, ale słodka Aniela?*

— Mnie też było bardzo trudno odnaleźć się w tej roli. Jan Swiderski ciągle mi powtarzał na próbach: „Aniela, to jest od anioła, od a n i o ł a!" No, zrobiłam tę rolę w końcu jakoś „po swojemu"...

— *A ja panią ciągle widzę przede wszystkim w filmie... W młodym polskim kinie. Tym kinie, które określamy mianem moralistycznego. Krystyna Janda stała się jakby medium pewnego pokolenia — twórców i odbiorców — poprzez które wyrażają się poglądy na życie, niepokoje i cele, jakie stawia przed sobą to młode pokolenie. Z aktorów — pani i Jerzy Stuhr na przykład...*

— Chciałabym jednak, aby nie odbierano mnie tylko jako aktorki „młodego kina". Jestem, oczywiście, w środku tego, co skupieni w nim twórcy myślą i jak czują, i wystarczą mi dwa słowa, żebym wiedziała na planie, czego oni ode mnie oczekują. Osiągnęłam chyba już pewną taką elastyczność, zarówno warsztatową jak i intelektualną, że potrafię im współpartnerować...

— *Właśnie: bezkompromisowa Agnieszka, dość tajemnicza Agata w „Bez znieczulenia" (ta milcząca dziewczyna, co chce po prostu „być" przy człowieku, któremu świat się wali na głowę), wreszcie — Marta z „Dyrygenta" — młoda skrzypaczka stawiająca sobie pytania, co ważniejsze: sztuka, kariera czy też życie dla człowieka, któremu jest się potrzebnym... Stała się pani „wajdowską" aktorką, z tych jego filmów — skierowanych ku współczesności. W nich pani role najlepiej siedzą". Ani Anna z „Bestii" Domańskiego, ani Elżbieta z „Granicy" Rybkowskiego nie potrafiły mnie jakoś porwać... W „Dyrygencie" na przykład, w pierwszej, „nawojorskiej" sekwencji, pokazuje się pani nagle, w niebieskich dżinsach, w błękitnej koszuli, idzie pani trochę nerwowym, ale pewnym siebie, zdecydowanym krokiem, i... już coś się tworzy na ekranie, powstaje jakieś spięcie; jest w Marcie coś z Agnieszki, młodej reżyserki filmowej z „Człowieka z marmuru"...*

— Bo też, jak pan zauważył Marta z „Dyrygenta" ma w sobie wiele z Agnieszki. Lecz Agnieszki starszej o kilka lat, patrzącej na świat z większą dojrzałością.

Ale chciałabym powiedzieć o czym innym: utarła się o mnie opinia, że jestem osobą bardzo „współczesną", i teraz obsadzają mnie w rolach współczesnych dziewczyn. Andrzej Wajda, na przykład, nie znosi mnie w stylowej sukni. A ja chcę grać nie tylko współczesne dziewczyny. Staram się odnaleźć siebie także w stylowym kostiumie. Z fredrowską Anielą — o czym już mówiłam — miałam niełatwą przeprawę; mój temperament, moja nerwowość tak trudne były do pogodzenia z „łagodnością" tamtego kostiumu.

Może udało mi się po raz pierwszy od należć w stylowym kostiumie dopiero ostatnio, w „Dziewięćdziesiątym trzecim" Stanisławy Przybyszewskiej, w roli Maudon. Nawiasem mówiąc, jestem wyjątkowo wrażliwa na kostium, na strój, który zaprojektowano dla postaci, jaką mam odtwarzać, w teatrze, filmie czy telewizji. Mogę się z nim identyfikować, lub budzi on we mnie irytujący sprzeciw. Jeszcze dzisiaj, jak wkładam dżinsy i sportową koszulę, zaczynam się podświadomie zachowywać jak Agnieszka...

— *Gra pani dużo, pracuje najczęściej ze znakomitymi reżyserami, jak nie filmowymi to teatralnymi, między innymi ze Świderskim, z Łapickim, Wajdą. Każdy z nich miał wpływ na ukształtowanie osobowości artystycznej Krystyny Jandy, który z nich miał wpływ największy?*

— Andrzej Wajda.

— *Dlaczego?*

— Trudno by było odpowiedzieć jednym zdaniem. Może zacznę od tego, że Andrzej Wajda to jest człowiek „do kochania", ludzie go uwielbiają. Tak bardzo potrafi wyczuć drugiego człowieka, obsadzić go w najbardziej odpowiedniej roli! Często żartuje, że w filmie trzeba przede wszystkim grać w y r a ź n i e jak c z a r n e n a b i a ł y m. Ale to przecież właśnie Wajda, jak mało który z reżyserów, potrafi tak wiele inwencji pozostawić samemu aktorowi, tak bardzo aktywnie z nim współpracować, słuchać jego uwag i analizować jego pomysły. Dzięki niemu upewniłam się w artystycznej i życiowej odwadze; może przedtem zbyt często udawałam przed sobą, że jestem inna niż jestem naprawdę, niż powinnara być? Andrzej Wajda jest też człowiekiem niesłychanie delikatnym. Ale przy całej delikatności potrafi być w swej pracy bezkompromisowy. Tego właśnie starałam się od niego nauczyć.

— *W swym pierwszym wywiadzie, udzielonym dziennikarzowi „Sceny", mówiła pani w ten oto sposób o zawodzie aktora, który się właśnie przed panią otwierał: „... jest to taki zawód, w którym aktor nie może nikogo oszukać, nawet przy bardzo sprzyjających warunkach: wielkiej szansie, szczęściu, zachwytach krytyków czy sympatii dyrektorów. Jest to zawód, w którym ocena i sprawdzian są natychmiastowe i bezlitosne". Co mogłaby pani teraz, po czterech latach dorzucić do tamtych słów?*

— Powtórzyłabym to samo. A ponadto, że nauczyłam się pracy z wieloma ludźmi. Nauczyłam się słuchać, analizować i wyciągać wnioski z tego, co do mnie mówią. Już nie mam w sobie strachu, który mówił mi w początkach pracy scenicznej: trzymać się, trzymać się siebie, swojej „linii" — bo zginę.

— *A co daje pani dzisiaj większą satysfakcję: praca na scenie czy przed kamerą?*

— W teatrze przede wszystkim...

— *Więc pani też? Pani, która wydaje się być przede wszystkim człowiekiem kina, wygłosi zaraz pean na cześć teatru, czyli „prawdziwej sztuki", która jedynie naprawdę nobilituje aktora? Dlaczego tylko Beata Tyszkiewicz potrafi u nas powiedzieć otwarcie, że jest aktorką filmową a nie teatralną, bo po prostu woli kino od teatru?*

— Ale pan mi nie pozwolił dokończyć... Ja też wolę, na swój sposób, kino. Jednak teatr pozwala mi bardziej uczestniczyć w akcie twórczym. Jeżeli gram sto przedstawień na scenie, to w każdym z nich jestem trochę inna. Coś dodaję lub ujmuję w mojej roli, przetwarzam ją, wzbogacam, nasycam własnymi przeżyciami, zwiększającym się z każdym dniem zrozumieniem postaci, którą odtwarzam. Jestem wiązana w dziejącą się na scenie pewną artystyczną całość i sam sposób wpływ na jej kształt. W teatrze pracuje się wolniej niż w filmie. Na próbach jest czas na przemyślenia, na rodzenie się nowych pomysłów. Właśnie na próbach, w wolnych chwilach, myślę „naprzód" o tym, co zrobić i jak to zrobić. W filmie trzeba działać szybko, wykorzystując doświadczenia zdobyte na długich, spokojnych próbach teatralnych. Dobrze, że ja jeszcze jestem, jak to się mówi, „aktorką pierwszego dubla", jakoś mi wychodzi scena, która jest filmowana, za pierwszym, drugim razem. Satysfakcja z grania w teatrze, o której mówiłam poprzednio, polega na durnym przekonaniu, że jestem jakimś „większym" twórcą, natomiast w filmie nie mam takiego wpływu na ostateczny kształt mojej roli. Ale obawa ta polega na mojej... głupocie, ponieważ za każdym razem z zagranej przeze mnie roli filmowej Wajda robi nożyczkami o wiele lepszą rolę.

— *Z tego co pani mówi wynoszę wrażenie, że teatr, choć bardziej przywiązuje aktora do roli niż film, choć mocniej włącza go w swoje tryby, daje mu przecież większe poczucie wolności.*

— Bo tak jest, tylko rezultaty są różne.

— *Jeszcze jedno pytanie: deklaruje się pani dość często jako wielbicielka twórczości Prousta. Trochę to nie pasuje do wyobrażeń o pani jako przedstawicielce młodej generacji, do tych filmów o „publicystycznem" zacięciu, w których tworzy pani swoje charakterystyczne postaci. No, mógłbym wyobrazić sobie jeszcze Marię z „Dyrygenta", wybierającą się w drogę w poszukiwaniu czasu utraconego. Ale Agnieszka, ale Agata?*

— Tylko że ja nie jestem ani jedną, ani drugą, ani trzecią z tych dziewczyn. Choć Agnieszce, Agacie i Marcie staram się dać jak najwięcej z siebie. Ja zresztą przy Prouście odpoczywam Proust...

— *„Jest jak balsam na moje poczucie umykającego czasu i nerwowość", zwierzyła się pani kiedyś.*

— Tak. Uwielbiam ten świat, który on stworzył. Jakbym uczestniczyła w tym wszystkim, co się dzieje w jego książkach. Ten człowiek, ci jego bohaterowie, mają czas na wszystko. A my tak mało dzisiaj mamy czasu, coraz mniej go mamy. Nieraz nawet na to, żeby być sobą.

Rozmawiał:
Mieczysław Derecki

Najpiękniejsza wieś na świecie

Dokończenie ze str. 1

że zaangażowany bardzo w nowoczesność w rolnictwie i w organizacyjną robotę. Takich trzeba w PSZMP, mówią.

Młody, przodujący rolnik akurat nakręcał rządziecki zegar, ustawił go w regale, usiadł, „klubowego" zapalił uśmiechnął się.

— Produkować to my niedługo będziemy w sywie społecznym — mówi i patrzy, czy wiem o co chodzi.

— Herbatę podam — oznajmia żona z kuchni. Tam szafki na ścianach nowoczesne, blaty z marmurkowej wykładziny, zlewozmywak, czysto. W pokoju regał, stół, wersalka, telewizor, kaloryfery. Co tu jest wiejskiego? Coś jest. Może słońce przez gałęzie zza okna? Kolorowy kilim? Zapach?

Herbata w granulkach, jakiś „klins", kanapki z mielonką, papryka konserwowa.

— „Klubowego"? — pyta Piotr — A może „cuso", „marlboro", są w szufladzie. Można sobie krzywdować rok, dwa, ale nie bez końca — nawiązuje.

Ostatnio podjął zobowiązanie na trzydzieści cieląt.

— Jeszcze młode są, przedwczoraj je przywieźli. Trzeba je uczyć pić, siano jeść. Odstawione od krowy trzy, cztery tygodnie temu. Cycaki. Ale to nie „ler" wychodzi z tymi zobowiązaniami — mówi spokojnie. — W ubiegłym roku wywiązałem się na sto procent. Nie jestem złośliwy, ani obraźliwy, ale to komuś do wskaźników potrzebne było. Nawet mnie nikt na szkodenię nie zaprosił.

Do pokoju weszła Agnieszka, wywaliła szufladę na podłogę, a potem ceremonialnie, z pięcioletnią powagą zrobiła porządek.

— Mi to o to nie chodzi, żeby wyróżnienie, ale na przykład żonę bym wysłał na wycieczkę. No, czemu to źle? Byłem mistrzem plonów i urodzaju w gminie, ale do Samarkandy, Taszkientu żonę wysłałem. Ale potem przyszła Kuba i tam się podmienić nie można było.

Za pokojem ruch jakiś krzątanie, bieganina, pies na podwórku wierci łańcuchem.

— W 76-tym zmodernizowałem oborę, od tego zacząłem. Za rok Złota Wiecha. Drugie miejsce na szczeblu wojewódzkim. No to się lekko mówi w tej chwili. Kartę gospodarstwa specjalistycznego dostałem w 1977: młode bydło rzeźne i bydło mleczne. A założenie było, że jeszcze w tym samym roku osiągnę kryteria, czyli 2,5 tysiąca litrów mleka z hektara. W dwa lata potem wyszedłem w kryteriach, ale straciłem na wynikach. Trzeba iść zieraz z postępem — stwierdza Piotr ironicznie. — Poszedłem, na dwudzienny udój krów. I straciłem jakie pięć tysięcy litrów rocznie. I na tłuszczu straciłem.

To się stało z podpowiedzi instruktorów z Końskowoli. Zapowiadali, że nie będzie strat, ale były.

— No, trochę nieładnie ich sypać — milczy się młody eksperymentator — bo jeszcze się obrażą. Ostatnio ich dość długo nie widziałem.

— Dobre są nowości — przestał się uśmiechać śpiąco — dobre, ale trzeba sprawdzić, czy to jest zdrowe. Z początku też namawiałem sąsiadów na dwudzienny udój. Nie poszli za mną. Przeczekali co u mnie będzie? Teraz odradzam. Nie śmieją się, bo oni w czym innym ryzykują.

— Ja zawczasu poszedłem do przodu — mówi o swoim starcie. — To było w czerwcu 76-tego, trzy jałówki wziąłem i one droższe mi wyszły. Umożeniu nie podlegają. Z ulg prawie nie korzystam. Samodzielnie leci. Zacząłem w martwym punkcie, każdy się wtedy wstrzymał. Szło o to, jakie ceny będą i trochę korzystnych przepisów mnie ominęło. Ale skorzystałem, że trzymam poziom nad przeciętną, dlatego, że wcześniej zacząłem i praktyki mam więcej od tych, co później zaczęli. W tej chwili koni nie mam. I to trochę źle. W tym wieku, gdy komputery liczą za nas, to park maszynowy niewielką rewolucję zrobił. Są takie uprawy, że samym ciągnikiem nie da rady. Trzeba od sąsiada konia pożyczyć. Kiedyś mieliśmy gospodarstwo: trzy konie, cztery krów, trochę owiec i bajorko w oborze. Jak jedno wyszło, to drugie nawalało i trzeba było spróbować coś jednolitego.

Powtarzam mu, co mówią na wojewódzkim szczeblu Federacji, że społecznej robocie ostatnie mniej się poświęca.

— Raczej nie — odpowiada zaraz. — Szefostwo się zmienia i jeszcze nie dostrzegają.

— Zjadliwy jesteś — stopuje go żona.

— Nie, Konkretny — odcina się. — Na szczeblu

SENSACJE Z PRZESZŁOŚCI

Atomowa wojna bogów (VI)

Aleksander Mora

DALSZE wyniki uzyskane przez kolejne wyprawy Apollo dostarczają nie mniej fascynujących informacji niż z pierwszych wypraw. Badania magnetyzmu księżycowego (Apollo 16) wykazały, że Księżyc obecnie nie posiada globalnego pola magnetycznego, niemniej jednak próbki skał księżycowych wykazywały ślady dawnego działania tego pola („New Scientist" 1980 t. 85, s. 66). Namagnesowanie to jest nieznaczne i wynosi około 1/100 000 tego, jakie spotyka się na Ziemi. Nie jest ono również jednolicie rozłożone na powierzchni, lecz koncentruje się w siedmiu regionach. Wszystkie te regiony leżą na zewnętrznej stronie największych kraterów („New Scientist" 1979, t. 84, s. 873).

Odkryto także istnienie dwóch oddzielnych pasów ferromagnetycznego materiału, o długości około 1000 kilometrów, leżących na głębokości około 100 kilometrów pod powierzchnią Księżyca. Pochodzenie i przeznaczenie tych ogromnych utworów, podobnych do dźwigarów lub wzdłużników w kadłubie okrętu, stanowi dotychczas zagadkę, podobnie jak odkryte przez wyprawę Apollo 16 ślady pordzewiałego żelaza w próbkach skał księżycowych. Ponieważ rdza świadczy o obecności wody, dawna teoria mówiąca, że Księżyc zawsze był pozbawiony zawierających wodę minerałów, powinna być poddana rewizji. Niezaprzeczalny dowód istnienia wody na Księżycu pojawił się wówczas, gdy instrumenty pozostawione przez poprzednie wyprawy Apollo niespodziewanie wykryły chmury pary wodnej rozciągające się na przestrzeni setek kilometrów. John Freeman z Rice University twierdzi, że wszystkie odczyty przyrządów pomiarowych wskazują na bezsporny fakt, iż para wodna pochodzi z głębokiego wnętrza samego Księżyca.

W ciągu tysięcy lat żywe były na Ziemi legendy mówiące o istniejących na Księżycu miastach. Według zapisów, jakie znajdujemy w książce Charlesa Forda, europejscy astronomowie twierdzili w swoich publikacjach naukowych, że widzieli takie ruiny na Księżycu jeszcze w ubiegłym wieku. Amerykańskie czasopisma astronomiczne publikowały rysunki i fotografie piramid, kopuł, krzyży i mostów, jakie obserwowano na powierzchni Księżyca. Zeszyt czasopisma Uniwersytetu w Harvard z kwietnia 1954 roku pt. „Sky and Telescope" zawiera artykuł na temat mostu sfotografowanego na powierzchni Księżyca, łączącego dwa grzbiety górskie w pobliżu Mare Crisium. Według opinii redaktora naukowego „New York Herald Tribune" — Johna O'Neile'a oraz dwóch astronomów angielskich, H. P. Wilkinsa oraz Patricka Moore'a, fotografia ta przedstawia definitywnie most, a nie przypadkową formację skalną tego kształtu. Jeśli Mare Crisium było kiedyś prawdziwym oceanem, wówczas most ten porównać by można do mostu Złotej Bramy (Golden Gate Bridge) w San Francisco, który również spina dwa grzbiety górskie w pobliżu oceanu. H. P. Wilkins wyliczył, że długość tego księżycowego mostu przekracza 20 kilometrów. Spędził on również wiele czasu na katalogowaniu ponad 200 białych kopuł, o średnicach sięgających 200 metrów (obserwowanych w ostatnich latach w coraz większych ilościach), które czasami znikają w jednym miejscu, aby znowu pojawić się w innym. Zaskakujące, że wiele spośród tych księżycowych kopuł zaobserwowano w pobliżu wyjątkowo prostej ściany o wysokości około 450 metrów i długości ponad 100 kilometrów. Po przeciwnej stronie tej ściany, na przeciwległej stronie Księżyca, znajduje się pęknięcie o szerokości 8 kilometrów i długości 240 kilometrów.

Jeszcze bardziej zadziwiające są zespoły gigantycznych głazów, znajdujące się na powierzchni Mare Tranquillitatis i Oceanus Procellarum. William Blair, uczony antropolog, porównuje te budowle do Stonehenge, o prostokątnych zapadlinach zerodowanych ścian, które zawaliły się ku środkowi oraz monolitycznych iglicach wyższych od jakiegokolwiek budynku na Ziemi. Radzieckie zdjęcia wykonane przez Łunę 8 wskazują, że niektóre spośród tych iglic mogą w gruncie rzeczy mieć kształt piramid.

Starożytna cywilizacja zamieszkująca w przeszłości na powierzchni Księżyca musiała dokonać ogromnego dzieła, przekształcając i modelując krajobraz powierzchni Księżyca. Astronomom od wielu lat znane są, duże obszary tej powierzchni pokryte siatką krzyżujących się linii, przypominających siatkę południków i równoleżników rysowanych na mapach Ziemi. Odnosi się wrażenie, że te uskoki, grzbiety górskie, wąwozy, i łańcuchy kraterów ułożone są wzdłuż równoległych linii przecinających się z innymi pod kątami prostymi. Taki system krzyżujących się linii jest zupełnie nienaturalny i uczeni nie potrafią znaleźć dla niego żadnego wytłumaczenia.

Zdjęcia przesłane przez amerykańskie sondy z powierzchni Merkurego, Wenus i Marsa wskazują, że los tych planet był podobny do księżycowego. Można na ich powierzchni znaleźć kratery tworzące wzory podobne do księżycowych. Niektórzy fizycy oceniają, że energia potrzebna do utworzenia takich kraterów (których średnice osiągają 1300 km) przekracza tysiące razy siłę wybuchu największych bomb wodorowych.

Tak straszliwa siła wybuchu mogła zniszczyć planetę, która kiedyś krążyła między Marsem a Jowiszem, a po której pozostał obecnie tylko pas asteroid. Kiedy ta grupa fragmentów skalnych została w 1802 roku odkryta przez niemieckiego astronoma Heinricha W. M. Olbersa, astronomowie byli przekonani, że to jakaś planeta została kiedyś zniszczona w wyniku straszliwej eksplozji. Teoria ta ciągle jest żywa wśród astronomów radzieckich. Obliczyli oni na początku lat 60-tych, że średnica owej planety wynosiła około 6000 km. Z drugiej strony wiadomo, że nie istnieje żadna naturalna przyczyna eksplozji planety. Amerykański astronom Gerard P. Kuiper, Dyrektor Obserwatorium Astronomicznego Uniwersytetu w Arizonie, twierdzi wprawdzie, że pas asteroid powstał wówczas, gdy 5 do 10 oddzielnych planet znajdujących się na orbitach pomiędzy Marsem a Jowiszem przypadkowo zderzyło się ze sobą, jednak nie posiada on konkretnych dowodów potwierdzających tę teorię, zaś ze statystycznego punktu widzenia taka przypadkowa kolizja jest niemal niemożliwa w przestrzeni, jaka istnieje między Marsem a Jowiszem. Naukowcy z NASA byli zaskoczeni, kiedy sondy Pionier 10 i Pionier 11 przeszły bez żadnej kolizji przez pas asteroid zawierający około 100 000 odłamków skalnych. Najprawdopodobniej nie zwrócili oni uwagi na fakt, że średnia odległość między każdą z tych asteroid wynosi około 6,5 miliona kilometrów.

W każdym razie wiadomo, że największe rozmiary zniszczeń podczas tej starożytnej wojny miały miejsce w obszarze między Marsem a Jowiszem. Być może, planeta lub planety istniejące w tej części naszego układu słonecznego były głównymi bazami militarnymi i dlatego musiały zostać zburzone. Starożytne środki bojowe mogły również dokonać zniszczenia czterech księżyców Saturna, co spowodowało powstanie jego pierścienia. Astronomowie twierdzą, że księżyce te rozpadły się, kiedy zbytnio zbliżyły się do planety. Nie ma jednak żadnych realnych dowodów na poparcie tej teorii, tym bardziej, że ci sami astronomowie przyznają, iż księżyce nie mogłyby rozpaść się, gdyby były zbudowane z niepopękanej litej skały. Ponadto Saturn byłby jedyną planetą w naszym układzie, której księżyce uległyby rozpadowi w tak niezwykły sposób. A może one także były ważnymi bazami wojskowymi i dlatego musiały zostać zniszczone?

W ostatnich latach świat naukowy dowiedział się, że temperatura na powierzchni Jowisza wynosi ponad 50 000 stopni, a więc przekracza nawet temperaturę na powierzchni Słońca. Czy potężne bombardowanie za pomocą nuklearnych środków zniszczenia nie mogło zapoczątkować reakcji jądrowych na tej planecie?

W książce zatytułowanej „Złoto bogów" Erich von Däniken dyskutuje możliwości istnienia w starożytności wojny, w której cywilizacje pochodzące z innych systemów gwiezdnych walczyły ze sobą i ci, którzy tę wojnę przegrali, szukać musieli schronienia na Ziemi. W tych to zamierzchłych czasach nasz system słoneczny mógł zostać zniszczony przez istoty lub „bogów" pochodzących z innych układów planetarnych.

Wydaje się jednak, że nie ma powodów, dla których „kosmici" mieliby wybrać sobie jako teren załatwiania swoich porachunków tę zapadłą część galaktyki, odległą przynajmniej o kilkadziesiąt lat świetlnych od miejsca, w którym przyczyna sporu powstała. Bardziej uzasadnione wydaje się twierdzenie, że wysoko rozwinięta cywilizacja powstała właśnie tu, na Ziemi, przed kilkudziesięciu lub nawet kilkuset tysiącami lat. Ta wspaniała cywilizacja osiągnęła już etap planetarny — rozpoczęła kolonizację znajdujących się w obrębie ekosfery planet naszego układu słonecznego, stając tam szybko na niebywale wysokim poziomie techniki i cywilizacji.

Zdaje się jednak, że postęp moralny nie przebiegał równolegle z technologicznym. Znane wady ludzkości i dążność jednych do dominacji nad drugimi, zwielokrotnione niesłychanymi możliwościami zaawansowanej wiedzy i techniki, doprowadziły do otwartej rywalizacji pomiędzy mieszkańcami sąsiednich planet. Rezultatem była straszliwa wojna, w wyniku której z jednej z planet pozostał tylko pas asteroid, zaś powierzchnie Księżyca, Marsa, Merkurego i Wenus zamieniły się w skalne rumowiska o zatrutej śmiertelnie dla wszelkiego życia atmosferze. Ci, nieliczni, którzy przeżyli ukryci w bunkrach i skalnych schronach na stosunkowo najmniej zniszczonej Ziemi, stali się nosicielami kultury cywilizacji, „bogami", wśród ocalałych, człekopodobnych istot zamieszkujących dzikie ostępy i dżungle Ziemi, mając nadzieję wskrzesić na gruzach dawnej świetności „złoty okres" — nowe cywilizowane życie.

c. d. n.

---

gminnym pomagam. Tylko, że zostałem związany tym zobowiązaniem. Był okres zimowy, to bardziej się organizacją zajmowałem. Sprawozdawczość, wybory. Jestem członkiem zarządu miejsko-gminnego. Mam dwa kół do obsługi. I strasznie mi samochód potrzebny. Może by o tym nadmienić? Autobusem nie zdąży się wszędzie. Starałem się u wojewody, odmownie dostałem. To jest krzywdzące. Koledzy pokończyli studia, poszli na stanowiska i dostali samochody. Ja szczerze z nimi rozmawiam: „Tobie samochód potrzebny, żeby na niedzielę do rodziny przyjechać, a mnie na co dzień". Produkcję zwiększam kosztem rozrywek, życia społecznego, kulturalnego, a są jeszcze tacy ludzie, co myślą, że rolnik — specjalista to wróg ustroju. Słowo daję, nawet ludzie, co zajmują stanowiska tak myślą, ale nie znają problemu. Przedstawia się rolnictwo jako wielce opłacalne, a tu jak się nie zapracuje, to się nic nie ma. Mam produkcję, a nie mam czasu wykończyć mieszkania, bo są inne dziury do zatkania. Nawet odpajalnię dla cieląt zrobiłem w stodole po przeróbce. To wszystko kosztem swoich nakładów, bo nie ma mechanizacji, prymitywne są warunki. Jak zrobiłem modernizację obory, to żona zaczęła narzekać, że krowy mają lepszą wygodę, niż my, bo brak łazienki.

W całej wsi nie ma wodociągu. U każdego stoi beczka z wodą. Gdybyśmy dostali wodociąg, to nie przesadzę, ale dwa razy produkcja by skoczyła. A żeby żyć bez przerwy w przodzie, to trzeba inwestować. W radio, telewizji nie mówią, że w gospodarstwie nie ma czasu ciapów założyć.

Kiedyś sobie wyobrażałem, że po dwóch, trzech latach zlikwiduje się trudności, ale one istnieją. Trudno się specjalizować, gdy nie ma maszyn. Nie jestem zwolennikiem zasady — iść do przodu kosztem zdrowia. Powinna być priorytet dla dobrych rolników. Wybieram się do wojewody na szczerą rozmowę — powiedział to wszystko bez cienia goryczy, spokojnie, a z tyłu jak alibi, jak rękojmia pęczniała waza — puchar z napisem na błyszczącej obroży: „Mistrz Województwa Lubelskiego we współzawodnictwie Młody Przodujący Rolnik za rok 1979".

— Ja nie narzekam — mówi — ja dyskutuję. Po prostu, jak wyszły zarządzenia o gospodarce specjalistycznej, to trzeba było je poprzeć konkretami, maszynami. Mój ciągnik to stary, z kółka, przeznaczony do kasacji, ale wyremontowałem go. A eskaer ma niewiele sprzętu.

Przeszliśmy do kuchni. Wyjaśniło się, co to był za rumor — pora karmienia cieląt.

— Nie mówię, że trzeba wielkiej mechanizacji, wystarczy mała — powiedział Piotr i pokazał wiadra pełne białego płynu. To był mlekopan, rozcierany w wodzie siłami dwu kobiet, bo pralka na to przeznaczona zepsuła się po roku. Innego agregatu nie ma w sklepach, ale ponoć i pralkę już trudno kupić.

Cielęta stoją w drugim krańcu podwórza. W cielętniku trzyletni Pawełek buszuje z byczkami. Za parę miesięcy one osiągną półtorej setki wagi i zabawa się skończy. Na razie jest wesoło.

— My, młodzi rolnicy — mówi Piotr — wiemy, czego się domagać. Dajemy nie blefowaną produkcję, nie fikcyjną. Kiedyś na zlocie wojewódzkim wysunąłem wniosek, żeby młodych ludzi, co mają zająć nadrzędne stanowiska, sprowadzać na sam dół. Niech zobaczą, jak wygląda praca. Zdaję sobie sprawę, że za 10 lat powstaną nowoczesne gospodarstwa, ale trzeba ludzi przygotować, bo teraz to sąsiad sąsiadowi się wstydzi ukłonić, taki zapracowany. Ale co przez te 5—6 lat? Ludzie chcą pracować.

Ojciec pracował, póki mógł. W czasie wojny był w Oświęcimiu i zdrowie mu się wyczerpało. Dla niego to dużo, co osiągnąłem. Starsi ludzie mówią mi nieraz: „Jakie ty życie prowadzisz? Ja wstawałem o świcie, szedłem w pole z koniem, spokojną głowę miałem". A ja po pierwszym obrządku zaczynam produkować od... załatwiania spraw. No, na przykład, dostałem te cielęta, ale nikt mnie nie zawiadomił, kiedy przywiozą. Nie mam mlekopanu, paszy, muszę jechać do weterynarza po szczepionki, potem materiał siewny, premixy. A dużo spraw się komplikuje. Może starzy mają rację? Było mniej wydajnie, ale spokojniej. Ogólny system mamy najlepszy, ale na szczeblu gminnym, czy wojewódzkim to gdzieś wyłatuje.

Pegeerowskie cielaki na gospodarskim odchówku uczą się twardego życia chłepcąc z wiader. Cielaki Piotra, prywatne, korzystają ze sztucznego „cycka", zamontowanego u wiadra — patent prof. Zalewskiego z lubelskiej AR. Dobry pomysł, ale zrobiono tego tylko tysiąc sztuk. Ot, gdzie nie ruszyć...

W pokoju u dzieci wiszą trofea Piotra — dwa proporce za mistrzostwo w gminie, proporzec z Hawany, inne jeszcze. Jest wielki puchar oczywiście. Złota odznaka: „Aktywista ZSMP", z drugiego zjazdu Federacji. Oglądamy. Humor mu się poprawił.

— Zżyłem się ze swoją wioską — mówi. — Najpiękniejszą wioskę mamy na całym świecie.

Bronisław Kowalski

Dzieci lubią lalki

Maria Bechczyc-Rudnicka

JEDNYM z najprzyjemniejszych majowych wydarzeń kulturalnych tego roku w Lublinie były obchody 25-lecia Teatru Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena. Na Jubileuszu w ścisłym słowa znaczeniu, który zainaugurował czterodniowe święto tej sceny, małej a stanowiącej nader potrzebny czynnik upowszechnienia kultury teatralnej, przedstawiciele władz partyjnych i administracyjnych udekorowali członków kolektywu sympatycznej placówki artystycznej licznymi odznaczeniami. Wręczyli też wiele przyznanych nagród, jak dalece zasłużonych — niech świadczą przytoczone niżej dane liczbowe.

Otóż jubileuszowa premiera lubelskiego Teatru Lalki i Aktora była jego premierą setną. 99 sztuk wystawionych w ciągu 25-letniej działalności obejrzało na 8 163 przedstawieniach w kraju 1 602 727 widzów oraz na 97 spektaklach w czasie 14 wyjazdów za granicę — widzów 32 450. Mamy tu chyba dość wymowne świadectwo aktywności i sukcesów teatru - Jubilata.

W Polsce Ludowej doceniono społeczną przydatność teatrów lalkowych bardzo wcześnie. Poeta Jan Sztaudynger, który znalazł się w okresie PKWN na terenie Lublina wraz ze swym zbiorem notatek, wycinków prasowych i zdjęć dotyczących tych teatrzyków, był gorącym ich orędownikiem u ministra Rzymowskiego. Dzięki jego to interwencji i kontaktom z kierownictwem Teatru Domu Żołnierza, udało się młodej literatce, Stanisławie Sznaper-Zakrzewskiej, i jej mężowi stworzyć „Bi-ba-bo", pierwszy teatr kukiełkowy odrodzonej Polski. Już 14 grudnia 1944 r. odbyła się pierwsza premiera, na której program złożyły się teksty Zakrzewskiej: „Cwaniak-spekulant", „Smutne losy świni-volksdeutschini" i „But-samo-chód". Kukły do owego spektaklu zrobiła znana warszawska rzeźbiarka-animalistka, Magdalena Gross.

Wprawdzie na tej chyba prapremierze skończyła się lubelska działalność „Bi-ba-bo", ale za to już 15 września r. 1945, po dziesięciotygodniowych próbach, podniósł swoją kurtynę Teatr Marionetek „Bemol", w estetycznie urządzonej świetlicy Związku Pracowników Pocztowych. Założycielką „Bemola" była żona znakomitego kompozytora, Tadeusza Szeligowskiego (podówczas dyrektora lubelskiej Orkiestry Symfonicznej) — Stanisława Szeligowska. Na pierwszy ogień poszła „Kariera Franka Żyrafy", adaptacja książki Lucyny Krzemienieckiej. Lubelski artysta-malarz Jarosław Kawa (Łukawski) nadał maskom lalek syntetyczny wyraz, łatwo ulegający przemianom pod wpływem ruchu i gestu. Tło muzyczne, wyciąg z dzieł kompozytorów francuskich, wydatnie dynamizowało spektakl. Byłam entuzjastką tego teatrzyku o poziomie bardzo wysokim. Na prośbę S. Szeligowskiej, wygłosiłem tam nawet kiedyś referat pt. „Drogi marionetek", wydrukowany potem w lubelskim dwutygodniku społeczno-kulturalnym „Zdrój". Lecz, niestety, po paru pięknych premierach Urząd Pocztowy zabrał „Bemolowi" salę na swoje potrzeby administracyjne. Zresztą Szeligowscy wkrótce opuścili Lublin...

Tyle o lubelskich poprzednikach Teatru im. Andersena, który rozpoczął swoją działalność „dopiero" 6 grudnia 1954 r., ale jest pierwszym stałym teatrem lalki i aktora w powojennym Lublinie.

Entuzjastką — założycielką teatru obchodzącego obecnie 25-lecie była znowu kobieta, tym razem żona przedwcześnie zmarłego znakomitego pianisty, Władysława Kędry. Maryla Kędra zdołała skupić wokół siebie grono wyjątkowo wytrwałych zapaleńców. Niektórzy z nich pracują na placówce do dziś dnia: Małgorzata Eysmund-Lutomska, Fred Kosmala, Halina Łobaczewska, Alina Sternik, Wanda Wilhelm. Skonsolidowany zespół, pokonawszy viribus unitis pierwsze trudności lokalowe i finansowe, działał owocnie pod dyrekcją założycielki pięć lat.

W r. 1959 dyrekcję przejął Stanisław Ochmański. Za jego kadencji, aż 15-letniej, teatrzyk nazywający się odtąd Teatrem Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena, upaństwowiony, zadomowiony w pięknym budynku poklasztornym na Starym Mieście, osiąga poziom artystyczny najlepszych polskich teatrów lalkowych. Tak się złożyło, że w moim osobistym harmonogramie odwiedziny tego uroczego teatru figurują coraz częściej poczynając od lat sześćdziesiątych. M. in. w czasie przedstawienia „O Zwyrtale Muzykancie" (ze śliczną stylową scenografią Adama Kiliana) zrobiłam „odkrycie", że na widowni teatru lalkowego można zaznać prawdziwego relaksu, tak nam, dorosłym, dziś potrzebnego.

Wielkie powodzenie osiągnął Ochmański zwłaszcza w pozycjach repertuarowych wywodzących się ze starego teatru narodowego. Wystawiony w r. 1972 „Tryptyk staropolski" stał się sukcesem na miarę ogólnokrajową i zagraniczną. Pamiętam, że gdy warszawski Klub Krytyki Teatralnej SDP zjechał do Lublina na przegląd repertuaru Teatru im. J. Osterwy, najwięcej zachwytów wywołał spektakl... Teatru Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena — ów „Tryptyk".

Do nurtu staropolskiego nawiązuje też zrealizowana rok temu, tj. za nowej dyrekcji, inscenizacja sztuki Anny Świrszczyńskiej „Farfurka królowej

Jewgienij Speranski — „Cud Krasawica".

Bony". Spektakl ten zdobył III nagrodę za reżyserię (Włodzimierz Fełenczak) na IX Ogólnopolskim Festiwalu Lalek w Opolu. Jest to spektakl żywy, kolorowy. Jego dynamiczna akcja rozgrywa się i w komnatach królewskich, i na Starym Rynku z jego przekupkami, przewijającymi się między nimi żakami, z lajkonikiem. Widowisku towarzyszą dzwony Kościoła Mariackiego. W sumie — widowisko patriotyczne, sławiące piękno prastarej stolicy Polski. Co do mnie, zarzucałam mu tylko nadmierne rozbudowanie „żywego planu".

Na ogół biorąc, dyrektor Mieczysław Ciesielski i kierownik artystyczny Włodzimierz Fełenczak, którzy stanęli na czele zespołu PTLiA w r. 1974, po przeniesieniu się Stanisława Ochmańskiego do Łodzi, kładli w ubiegłym okresie szczególny nacisk na przenośnię poetycką. Charakterystyczna pod tym względem jest inscenizacja sztuki pisarki bułgarskiej, Rady Moskowej, „Dokąd pędzisz koniku?", metofora uzmysławiająca tęsknotę do wolności i przyjaźni.

Skoro jesteśmy przy tym tytule, przejdźmy do prezentacji jubileuszowych — drugi wieczór obchodów uświetniła właśnie owa inscenizacja Włodzimierza Fełenczaka.

A więc, oprócz wspomnianych „Farfurki" i „Konika", pokazano jeszcze z bieżącego repertuaru „Psią balladę" T. K. Toeplitza. Czwartą (właściwie pierwszą w kolejności) pozycją programu był spektakl premierowy „Cud Krasawicy" Jewgienija Speranskiego. Należałoby powiedzieć parę słów najpierw o premierze (ściślej mówiąc — prapremierze polskiej), ale wrócę na chwilę do owej rozgłośnej inscenizacji „Dokąd pędzisz, koniku?", którą pokazywano m. in. w ramach sztokholmskich Dni Kultury Polskiej w ubiegłym roku.

Przedstawienie zdobyło w r. 1978 Złoty Medal oraz trzy nagrody: za reżyserię, scenografię i muzykę na Międzynarodowym Festiwalu Sztuk Bułgarskich w Warnie, tudzież honorową nagrodę „Srebrne Koziołki", a także nagrody specjalne za reżyserię i scenografię na IV Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu. Poza tym jury Biennale przyznało nagrody aktorskie: Barbarze Strelnik (PWST) i Andrzejowi Ludwikowi Jóźwickiemu. Tym razem świetne rezultaty dała współpraca Fełenczaka z Leszkiem Mądzikiem, twórcą Sceny Plastycznej KUL, o której niedawno pisałam. Mądzik, posiadający niezwykle wyczucie przestrzeni, osłonił ściany widowni białym płótnem, jakby usadawiając widza w namiocie cyrkowym. Płótno owo staje zarazem za wolną okolicę, z chwilą gdy wyświetla się na nim pęd stadniny, od której odłączył się młody konik w poszukiwaniu przygód. W taki sposób udało się zrobić niejako „teatr ogromny" ze sztuczki w gruncie rzeczy kameralnej, o obsadzie pięcioosobowej, gdzie jedynie Konik jest lalką animowaną, bo konie karuzeli, umieszczonej na scenie, są podobiznami sztywnymi, drewnianymi. Za to cienie koni biegnących w „plenerze" jakby pełniły w tym widowisku zadanie statystów. Poza tym spektakl rozgrywa się w „żywym planie" (z wykorzystaniem „wybiegu" na widownię, modnego od czasu „Dziadów" w inscenizacji Swinarskiego).

Otóż ów „żywy plan" urósł w naszych teatrzykach lalkowych do nie lata problemu. Pisałam o jego przerostach już w r. 1971 (w artykule pt. „Nie robić z lalki rekwizytu"), po VI Spotkaniach Teatrów Lalek Polski Wschodniej, którym towarzyszył Ogólnopolski Zjazd kierowników Artystycznych i Przedstawicieli Sekcji Lalkowej SPATIF. No, powiedzmy, koncepcja „Dokąd pędzisz, koniku?", dająca satysfakcję ambicjom reżysera, jest całkowicie na miejscu w teatrze lalkowym. Ale jako wydarzenie sporadyczne. Niepożądane są natomiast, moim zdaniem, nasilające się tam przegięcia stylistyki inscenizacyjnej w stronę zastąpienia animacji lalki popisami animatora, co widzimy np. we wspomnianej „Psiej balladzie".

Wystawione skądinąd bardzo starannie (świetne parawany czarno-białe à la Winiarski, kolorowe dresy i wyraziste maski wg projektów Freda Kosmali), „Przygody młodego Maja" pozostawiały wszak dziecięcą widownię obojętną (we mnie także „metampsychoza" piesko-ludzka wywoływała chwilami poczucie niedosytu. Nie bawmy się w La Fontaine'ów). Dzieci lubią lalki. Pamiętam, jak żywo reagowały na wyłącznie lalkowy spektakl prościuteńkiej węgierskiej sztuczki Gyuli Urbana „Niebieski Piesek" o kłopotach psiaka, który urodził się z niebieskim uwłosieniem, czyli innym niż zaakceptowany przez jego psie środowisko.. Spektakle dla młodszych dzieci powinny być klarowne, a fantazji dziecku i tak nie brakuje.

Toteż zrealizowaną przez Kazimierza Lutomskiego na Jubileusz Teatru Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena inscenizację „Cud Krasawicy" chciałabym uważać za dobry prognostyk. Wprawdzie modne dziś ikony, snobistycznie wprowadzone do scenografii Jerzego Milaka, nie bardzo harmonizują z podobnymi do ufitów niebianami na połyskliwych dyskach, ale twarze lalek są bardzo wyraziste i technika animatorska tu przednia. Finał jest nader pomysłowy, wręcz znakomity: ustawiwszy kukły wzdłuż „rampy" parawanu, aktorzy wychodzą zespołowo na proscenium przyjąć należy im aplauz.

Nie znaczy to, bym sugerowała zredukowanie działalności teatrów lalkowych do przedstawień dla dzieci. Powoływałam się nawet we wspomnianym wyżej artykule z r. 1945 „Drogi marionetek" na zainteresowanie, jakie żywili dla nich Wyspiański, Rydel... Marionetki paryskie w swoim czasie rywalizowały z wielkim teatrem, wystawiając te same sztuki. W Hiszpanii olbrzymim powodzeniem cieszyły się inscenizowane przez marionetki czyny Rolanda i Karola Wielkiego. Ogromny był sukces „Niebelungów" przesuwających się w miniaturze przed oczami niemieckiego tłumu. Goethe pod wpływem lalkowej wersji tragedii Marlowe'a powziął myśl napisania swego „Fausta"...

A właśnie — „Johannes Doktor Faust" wg animowanych tekstów czeskich był chyba najwspanialszym z widzianych przeze mnie spektakli Fełenczaka!

Na zakończenie pragnę złożyć zasłużonemu zespołowi Teatru Lalki i Aktora im. H. Ch. Andersena życzenia dalszej owocnej pracy tudzież poszerzenia lokalu, już przyciasnego na dzisiejsze potrzeby.

ZAKOPIAŃSKI KLUB LITERACKI

ZAKOPANE było, jest i chce pozostać znaczącym ośrodkiem na kulturalnej mapie kraju. Starają się o to także członkowie „Zakopiańskiego Klubu Literackiego". Klub ten, pozostający pod opieką krakowskiego oddziału Związku Literatów Polskich, skupia obecnie blisko 60 członków.

Tradycje „Zakopiańskiego Klubu Literackiego" sięgają lat trzydziestych, a w gronie inicjatorów działalności literackiej pod Giewontem byli wówczas Kornel Makuszyński, Kazimierz Wierzyński, Maria Jasnorzewska-Pawlikowska. Po drugiej wojnie światowej wiele dobrego do życia kulturalnego i artystycznego stolicy Tatr wniósł m. in. Ludwik Hieronim Morstin, który był jednym z animatorów działalności „Zakopiańskiej Rady Kultury". W latach sześćdziesiątych „Zakopiański Klub Literacki" miał takich prezesów, jak Józef Kapeniak, Jan Izydor Sztaudynger, Tadeusz Staich, Adam Pach. W ostatnim dziesięcioleciu szczególnie wyróżniła się działalność sekcji klubu, która skupia poetów i pisarzy posługujących się w twórczości literackiej gwarą. Członkami „Zakopiańskiego Klubu Literackiego" są m. in. Adam Pach z Zakopanego, Stanisław Gąsienica-Byrcyn z Zakopanego, Hanka Nowobielska z Białki Tatrzańskiej, Antonina Zachara-Wnękowa z Rabki, Michał Słowik-Dzwon ze Szczawnicy, Krościenka. W „Zakopiańskim Klubie Literackim" znaleźli swoje miejsce młodzi poeci góralscy, by wymienić Franciszka Bachledę-Księdzulorza, Jana Fudalę, Andrzeja Gąsienicę-Makowskiego, Zofię Gracę, Józefa Parahejka, Franciszka Łojasa-Kośćię.

Klub ma w swym gronie członków Związku Literatów Polskich — Lucynę Sieciechowiczową, Tomasza Głuzińskiego, Konstantego Steckiego, Tadeusza Stalcha. Sprawuje mecenat nad wieloma młodymi literatami, ma też swój walny udział w tym, że Zakopane jest prężnym ośrodkiem kultury i sztuki.

(Str)

MIASTO IDEALNE

Dokończenie ze str. 1

...Miasto Zamość założył pan Kanclerz z powodu, że się w tej okolicy urodził z ojca, który życie swoje trawiąc w służbie wojskowej, był dosyć szczęśliwy w tym, iż wysłał syna swojego Jana Zamoyskiego, teraźniejszego Kanclerza i Hetmana Wielkiego Koronnego, na pazia do Delfina (następcy tronu francuskiego) we Francji. Stamtąd, przez chęć ćwiczenia się w naukach i ucząc się w Padwie, znacznie uczynił postępki, tak dalece, że został rektorem w wydziale prawa. Z tego powodu zwykł mawiać: *Patavium virum me fecit* (Padwa uczyniła mnie mężem). Ten pan sprzyja Włochom i znacznie im świadczy. Zaczął stawiać to miasto w roku 1581, a już dzisiaj liczy do czterechset domów, po większej części z włoska budowanych. Miasto formuje czworogran, ma rynek obszerny, otoczony kształtnymi podsieniami, w których znajdują się sklepy z różnymi towarami. Murują teraz kościół wspaniały i piękny, wewnątrz i zewnątrz dobrze ozdobiony. Krótko przed założeniem wynaleziono w ziemi żyłę kamienną, co w tym kraju za cud prawie poczytano. Ten kościół będzie kolegiatą, jest hojnie opatrzony i już kosztownymi sprzętami zbogacony został [...] [Kanclerz] wystawił i założył akademię, w której prócz teologii, do wszystkich nauk są profesorowie [...]. Jest też w Zamościu twierdza obszerna ozdobna, rozważnie stawiana, i lubo w równinie, mocno obwarowana, lecz nade wszystko w łeżny rynsztunek dobrze opatrzona. Ten złożony jest w sali [...] Kazał wystawić bibliotekę bardzo dobrze rozporządzoną, znaczną, ksiąg zwłaszcza w językach greckim i ormiańskim; znajdują się przy tym rzadkie i ciekawe manuskrypta [...] Ma wielkie i piękne stajnie, w nich konie kosztowne i dzielne [...]. Architekt mi powiadał, że na same fabryki [tj. budowę] wydano już dotąd do 250 000 talarów w gotowiźnie, nie rachując drzewa, materiałów i pomocy z pańszczyzny, z dóbr kanclerskich dostarczanej. Oprócz tego znalezienie kamienia i do ozdoby, i do użytku tak publicznego, jak prywatnego, wielce będzie przydatne. Miasto zabiera się do handlu różnymi towarami i dlatego pan Kanclerz przypuścił Turków, Ormianów i Żydów".

Relacja ta wyjaśnia, chyba dostatecznie, dlaczego w roku jubileuszowym mówi się o Zamościu w Padwie. Stąd pochodził architekt Bernardo Morando, Uniwersytet Padewski ukształtował intelektualnie fundatora Jana Zamoyskiego. Włoska była koncepcja urbanistyczna i architektoniczna miasta.

Nic nie wiemy o życiu i działalności Bernardo Morando w ojczystym kraju, w Italii, poza faktem pochodzenia z grodu Antenora — Padwy. Wnioskując z realizacji Zamościa, musiał swoje wykształcenie zdobywać w różnych ośrodkach, oprócz rodzinnego Veneto także w Emilii i Rzymie. Morando nie tylko zaprojektował układ przestrzenny miasta i wszystkie ważniejsze gmachy, ale kierował ich budową, był też przedsiębiorcą budowlanym, stał się odkrywcą wartościowego kamienia budowlanego w okolicach Zamościa. Złączył swoje życie z polskim patronem, dla którego pracował przez 22 lata. Oprócz Zamościa projektował również inne miasta w dobrach Zamoyskich, jak Szarogród na Ukrainie, Jelitkowo (zwane później Tomaszowem). Z biegiem czasu Morando cieszył się u Zamoyskiego coraz większym uznaniem i na kilka lat przed śmiercią został stałym członkiem dworu hetmana, pobierając wysoką pensję za dozorowanie „municji i poprawy w budowniach".

Morando bardzo zrósł się z Zamościem, który budował; piastował godność rajcy, był nawet burmistrzem miasta. Był człowiekiem majętnym, posiadał kilka nieruchomości: kamienice i Giełdę. Jego liczne potomstwo — miał z żoną Katarzyną 4 synów i 2 córki — pozostało w Polsce.

Zamość — miasto idealne zostało niejako przeszczepione z ziemi włoskiej na grunt polski. Ten wspaniały owoc współpracy polskiego uczonego fundatora i zdolnego padewskiego architekta szybko został zaliczony do najsławniejszych miast europejskich. Znalazł się w wielkim wydawnictwie Georga Brauna „Theatri praecipuarum totius mundi urbium" wydawanym w Kolonii (1617): gdzie został zamieszczony perspektywiczny widok z pierwszych lat XVII wieku. Zamość został też zaliczony przez badaczy (P. Lavedana i innych) do najwybitniejszych osiągnięć europejskiej urbanistyki XVI wieku.

Wiele już wiemy o osobowości Jana Zamoyskiego, który przed włoskim architektem otworzył niezwykłą, wyjątkową szansę zaprojektowania i zrealizowania miasta kompletnego, od ogólnego planu do najmniejszego detalu monumentalnych budowli.

Wniknięcie w problemy teorii architektury ułatwiały Zamoyskiemu zainteresowania matematyczne, słuchał bowiem wykładów wybitnego uczonego Jeane'a Penny na Sorbonie w Paryżu. Z racji funkcji hetmańskiej musiała mu być bliska problematyka nie tylko strategii i taktyki, ale również architektury *militaris*. Niektórzy autorzy traktatów, zwabieni europejską sławą hetmana, przesyłali mu swoje dzieła, prosząc o ocenę i licząc na wynagrodzenie, jak to uczynił słynny wenecki inżynier wojskowy Bonaiuto Lorini, który w 1597 r. przesłał Zamoyskiemu swe dzieło „Delle fortificazioni", wydane tegoż roku w Wenecji. W księgozbiorze hetmana były też dzieła innych, niemal wyłącznie włoskich, teoretyków architektury militarnej z XVI w. Liczne były też traktaty i wzorniki z architektury cywilnej, m. in. Pietra Cataneo, autora traktatu „L'architettura" (Wenecja 1567), który stał się podstawą do opracowania planu idealnego miasta Zamościa.

Rola Jana Zamoyskiego jako dysponenta sztuki nie ograniczała się do określenia tematu, treści ideowych, ale rozciągała się również na sprawy artystyczne i technologiczne. Artyści, zdeterminowani wolą i gustem uczonego fundatora, byli wyrazicielami jego koncepcji ideowo-artystycznej.

Nadworny architekt kanclerza, Bernardo Morando, musiał przedstawiać mu do akceptacji nie tylko ogólny plan, ale też projekt najmniejszego nawet detalu architektonicznego.

O zaangażowaniu Zamoyskiego w sprawy architektury i jej programu, świadczy komponowanie wszystkich napisów na budowle jego fundacji, choć w kręgu kanclerza nie brakło znakomitych pisarzy i poetów. Zachował się nawet szczęśliwie bezcenny dokument w postaci kartki z rękopiśmienną redakcją ułożonych przez kanclerza napisów na budowle Zamościa.

Dominująca była u Zamoyskiego troska o to, aby dzieło sztuki zawierało jakiś głębszy sens, piękną budującą ideę.

Harmonijne dzieło sztuki mogło być, według opinii Zamoyskiego, obrazem pewnego ładu w świecie idei. Nie przypadkiem też kanclerz miał się powołać na logikę konstrukcji architektonicznej, poszukując porównania dla swych poglądów filozoficznych (był wielbicielem Cicerona i stoików). Cechą dzieł fundowanych przez Jana Zamoyskiego jest ich duży ładunek intelektualny, który czynił z nich sztukę dla wykształconej elity kulturalnej. Fundował dzieła głównie po to, aby były nosicielami wzniosłych idei, które należało unaoczniać, propagować lub do nich przekonywać. Były to cnoty obywatelskie, religijne, wzorce osobowe fundatora, starożytność rodu, chwała króla i Rzeczypospolitej. Wielowątkowe idee wplecione w artystyczno-kulturalne realizacje kanclerza i hetmana wyraziły się najokazalej w samym Zamościu. Zawarł je w inskrypcjach na reprezentacyjnych budowlach, w przestrzennej kompozycji miasta, w architektonicznych kształtach gmachów.

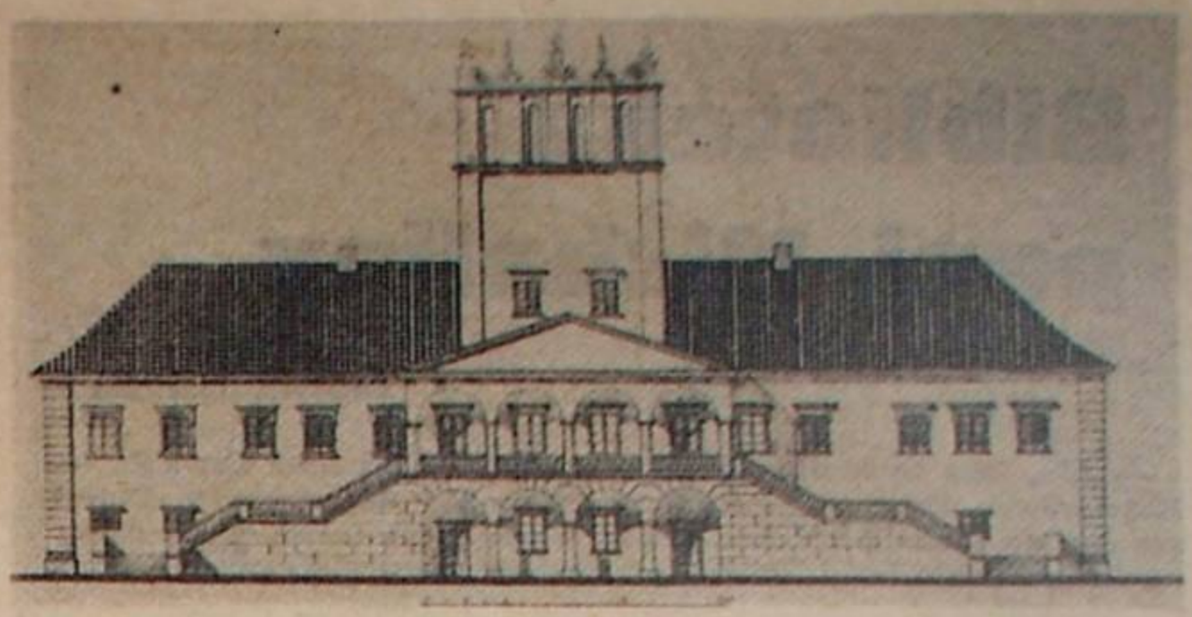

Pałac Jana Zamoyskiego wzniesiony w latach 1579—1586 przez arch. B. Moranda. Rekonstrukcja wg. rysunku arch. Adama Klimka

Decyzję o założeniu nowej rezydencji i miasta podjął ambitny Jan Zamoyski w ważnym momencie swojej błyskotliwej kariery jako męża stanu. Nastąpiło to wkrótce po jego ślubie z Krystyną, księżniczką Radziwiłłówną, przedstawicielką najpotężniejszego rodu litewskiego, spokrewnionego z królewskim rodem Jagiellonów (ślub odbył się 29 XII 1577 r.) oraz po nominacji na kanclerza wielkiego koronnego przez króla Stefana Batorego (1 III 1578 r.). Zamoyski stał się gwiazdą pierwszej jasności na firmamencie politycznym Rzeczypospolitej Obojga Narodów, Polski i Litwy. Dla narodzin Zamościa decydujące były przesłanki polityczno-propagandowe, ideowe i ekonomiczne. Jan Zamoyski, „il magnifico" starego, ale skromnego rodu szlacheckiego (pierwszym senatorem był dopiero ojciec), rozpoczynał nową epokę w dziejach rodu, dlatego też fundowane miasto otrzymało imię Zamość i zostało zlokalizowane w pobliżu rodzinnego zameczku Skokówka, gdzie kanclerz przyszedł na świat w 1542 r. Niewielka miejscowość Zamość od której rodzina przybrała nazwisko Zamoyskich, przybywając w połowie XV w. z Wielkopolski na Ruś, była wówczas w ręku stryja kanclerza.

Nowy Zamość szybko stał się stolicą dóbr ziemskich, którym Jan Zamoyski nadał w 1589 r. status ordynacji, stwarzając podstawę ekonomiczną dla potęgi rodu. „Państwo Zamojskie", liczące pod koniec życia założyciela 3830 km² i składające się z 6 miast i 149 wsi (bez wielkich dóbr na Ukrainie, nie wchodzących do Ordynacji), niczym nie różniło się więc od księstw, jakich było wiele w ówczesnej Rzeszy Niemieckiej i w Italii.

Program miasta został już wyraźnie zarysowany w dokumencie lokacyjnym wydanym 10 IV 1580 r. przez Jana Zamoyskiego. Przy wznoszonym nowym zamku miał być ufundowany kościół katolicki i miasto otoczone fortyfikacjami a nazwane Zamościem. Fundator zobowiązał się do wybudowania własnym sumptem zarówno kościoła jak i fortyfikacji. Oprócz terenów na działki budowlane nadał miastu grunta na przedmieściu na ogrody, zezwalał na zakładanie cechów, wyznaczał trzy doroczne jarmarki oraz cotygodniowe targi. Wzorem miast królewskich życzył sobie, aby rządziło się prawem magdeburskim, jak Lwów, gdzie miał być sąd apelacyjny dla mieszczan zamojskich.

Kanclerz postarał się o szybkie potwierdzenie swej fundacji przez króla Stefana Batorego, który w przywileju z dnia 12 VI 1580 r. potwierdził nadania Zamoyskiego na rzecz miasta, wzbogacił przywileje, ustanawiając prawo składu i zwalniając mieszczan zamojskich od ceł na terenie całej Rzeczypospolitej. Nadał też herb miastu: postać św. Tomasza apostoła, patrona rodziny Zamoyskich, z włócznią i tarczą z herbem Jelita Zamoyskich (trzy skrzyżowane włócznie).

W miarę upływu lat program miasta był wzbogacany, uzupełniany. Nie bez znaczenia były tu nowe godności, którymi król Stefan obdarzał Jana Zamoyskiego, zwłaszcza nominacja na dożywotniego hetmana wielkiego koronnego (11 VIII 1580), oraz następny związek małżeński z bratanicą króla, księżniczką Gryzeldą Batorówną (12 VI 1583 r.).

Jan Zamoyski kanclerz i hetman wielki koronny.

Rycina z dzieła J. Schrencka z 1601 r.

Zamość stał się miastem kompletnym, stolicą „Księstwa" (Państwa Zamojskiego) z rezydencją-zamkiem „ordynata", centrum administracyjnym dóbr, twierdzą wojskową, centrum rzemieślniczym i handlowym, siedzibą instytucji kościelnych, sądowych, ośrodkiem życia kulturalnego z uczonymi i humanistami przy dworze, ze szkołą wyższą i drukarnią. Aby nadać tym instytucjom rangę stosowną do księstwa, fundator postarał się u papieża Klemensa VII Aldobrandiniego o status uniwersytecki dla szkoły (1594) i o przywilej kolegiaty dla kościoła; zamierzał prawdopodobnie ubiegać się o przeniesienie siedziby biskupa chełmskiego do Zamościa. Dla miast Ordynacji i szlachty ziemi założył niezależny trybunał sądowy (1604), od którego można było apelować tylko do ordynata. W ten sposób Ordynacja stała się „państwem w państwie" którego głową miał być każdy kolejny ordynat z rodziny Zamoyskich.

Jerzy Kowalczyk

Biblioteka pani Michaliny

Tadeusz Jasiński

— Ale, jaka to smutna wieś! — wzdycha Michalina Czwalik. — Ksawerówka liczy 111 domów, a tylko 250 mieszkańców. Dzieci nie ma, no, mało jest dzieci, młodzież ucieka do miast, puste domy są. Dużo i nagle ludzi umiera, przeważnie starsi mężczyźni. Kiedyś tu było wesoło...

NA stojącej na skraju wsi chałupie pani Michaliny czerwona tabliczka głosi, że mieści się tu punkt biblioteczny. Zapełniają ów drewniany zabytek ludzkie losy — które rzeczywiście się z nim wiązały i te, pomieszczone w książkach, które zapełniają szafy i szuflady, leżą na stole i w różnych miejscach. Tomy własne, co przywędrowały z księgarń i państwowe, przywiezione z siedliskiej filii Gminnej Biblioteki Publicznej w Fajsławicach. W żadnym domu nie ma ich tyle, ale to zrozumiałe. Już przed wojną pani Michalina pożyczała książki u Jana Fiuty a kiedy świetlicę prowadziły panny Ziuta i Mela, asystentki pisarza Józefa Nikodema Kłosowskiego z krasnostawskiej szkoły rolniczej, to i od nich je brała. W czasie wojny nosiły książki z siostrą Bronką od wikarego z częstobrowickiej plebanii. Od szesnastu lat Michalina Czwalik sama podaje ludziom książki, prowadzi społecznie punkt biblioteczny w Ksawerówce. Jej dom nie jest więc taki pusty, bo przychodzą ludzie, wypożyczają, do niektórych sama idzie, bo starsi od niej, niektórzy chorzy. Jednej kobiecie nosiła, ale przestała, bo rodzina dogadywała, że głowa to mamę tylko od książek boli, bo od czego innego miałaby boleć? Przestała, ale znowu będzie jej nosić, bo żali się, że nie ma czym zająć myśli.

Ten dom nigdy nie przyjął mężczyzny, z którego przyczyny zmieniłaby pani Michalina swoje nazwisko, a jednak był ludny. Brat Tadeusz, który od pięciu lat jest listonoszem, wybudował się obok. Matka zmarła za młodo, siostry wyszły za mąż, ojciec odszedł według swego wieku i tak ten dom opustoszał. Właśnie w tym dniu jeździła do gminy, do Fajsławic, żeby przepisać swoje morgi i chałupę bratankowi, który połączy jej ziemię i ojcową, po powrocie z wojska będzie gospodarzyć. A ona sama? Zawsze trochę chorowała, jej już trzeba choć tę odrobinę renty, jakoś wyżyje. Nie za lata bibliotekarskiej pracy będzie listonosz przynosić co miesiąc te kilkaset złotych, bo za wypożyczenie książek nic nigdy nie miała, tylko za tę ziemię, którą teraz oddaje.

Był ten dom ludny, także z powodu obcych. Spadli z nieba lotnicy radzieccy, ukrywali się u nich, u sąsiadów. Potem szli dalej, jedni włączyli się do partyzantki, innym w tej drodze się nie poszczęściło. Teraz w Lublinie film się kręci o nich, ale nikt nie chce zajrzeć do ostatniej chałupy na skraju Ksawerówki. Pisała o tych sprawach wojennych nawet do moskiewskiego radia, szukali, także według adresów, które Michalina posiadała, ale śladu po swoich nie znaleźli. Pewnie tamci nie przeżyli, albo zgubili się gdzieś w tak wielkim kraju. Czwalikówna wspominała tamte czasy w swoim pamiętniku, jego fragmenty drukowała w „Nowej Wsi", w „Polityce" oraz w zbiorowej książce pt. „W myśli, w mowie, w sercu", która zawiera pamiętniki młodzieży z lat 1945-1968. „Czytelnik" wydał je przed dziesięciu lat pod redakcją Jana Bijaka... Stowarzyszenie Twórców Ludowych w Lublinie jakoś nie widzi w swoim gronie autorki pamiętnika pt. „Wolność pachnie", chociaż ponadto maluje ona i pisze wiersze. Prawda, największą wartość mają właśnie owe notatki. To jest literatura.

— Po muzyce przychodzę do domu a tu jeden z owych jeńców siedzi sobie jakby nigdy nic i zajada kolację. Będzie nocował. Och, jacy nasi dobrzy, domyślni i odważni, że pozwolili mu zostać. Drugi nocuje u sąsiada. Piotr Gawrylowicz, bo tak się nazywa, to miły, grzeczny, dziewiętnastoletni chłopak, młodszy ode mnie o dwa lata. Szczupły blondynek. Boże święty, i takie dziecko, bez rodziny, w obcym kraju! Patrzymy na niego jak na bohatera. Piotr opowiada, że obaj z kolegą uciekli z obozu, a teraz idą na wschód. Na drugi dzień Gawrynowicz pożegnał się i poszedł. Daliśmy mu na drogę chleba, zapałek... Przychodzili inni. Jakiś Aleksander i Mikołaj. Jakiś traktorzysta Siemion, nazywany „Zamoroką", bo był taki wynędzniały. Wszyscy zostali w naszych stronach i szybko się wygładzili, tylko Siemion — „Zamoroka" nadal nie mógł się poprawić. Gdy tak siedzieli obaj, przyszło mi na myśl, aby poprosić ich, żeby coś zaśpiewali. Z początku nie chcieli, w końcu zgodzili się. Gdy zaczęli śpiewać, łzy mieli w oczach, a my słuchaliśmy ze wzruszeniem. Obaj mieli piękne głosy i tak cudownie śpiewali, że wszyscy słuchaliśmy z zachwyceniem.

Oglądam wpisy do pamiętnika, szczególnie leningradczyka. Ani te serdeczne zdania, ani sam fakt prowadzenia w tym czasie pamiętnika zbyt bezpieczne nie były. Ale pani Michalina miała schowki tajemne. Należała do Związku Kobiet Ludowych, a więc i do Batalionów Chłopskich, miała swoje obowiązki i znała zasady, które dyktowała w krasnostawskich stronach „Chłostra". Dzięki temu każdy spośród kilkunastu ludzi radzieckich, którzy zaufali rodzinie Czwalików i ich okolicznym sąsiadom, mógł czuć się bezpieczny. Wspominam o tym szerzej, bo ma tamten okres wpływ na gusty czytelnicze pani Michaliny.

— Ja myślę sobie, co by im dać, co dać czytelnikom z mojego punktu, żeby się im podobało. Do wojennych książek, do pamiętników, do powieści zachęcam. Bo o tym wciąż za mało, tamtego nie wolno ludziom zapomnieć. Są tacy, owszem, ale starsi, co tylko o takie książki pytają. A młodsi, z nimi jest różnie. Jedni lektury, albo i dla przyjemności czegoś szukają, ale są i tacy, którym tylko dawać kryminały. Nieraz to chowam przed nimi, bo chciałabym, żeby i coś napisane z uczuciem przeczytali. Podsuwam coś dobrego, o tym, jak ludzie w tych powieściach robią się lepsi, albo zwyciężają ze złem. Szukam im sama. O obozach im daję, bo to są... bo to byli święci ludzie, co w obozach umierali. Starsi chcą o tym czytać, bo sami przeżywali. My tu wszyscy byliśmy w obozie, Polska to był jeden obóz, w strachu człowiek żył. Tylko że ci w prawdziwych obozach, to już mieli najgorzej. Mnie boli, że o Majdanku za mało zostało napisane, ludzie w Polsce i na świecie ciągle za mało wiedzą o tym wszystkim.

— O rolnictwie — dodaje — za bardzo ludzie czytać nie chcą. Ja daję gospodarzom, a oni, że sami wiedzą jak uprawiać ziemię, że mają czasopisma rolnicze. O chorobach chętnie biorą, nie o ludzkich tylko, ale i o zwierzęcych: kiedy świnia, albo krowa zachoruje, a z Fajsławic weterynarz nie nadjeżdża, to szukają sami ratunku w książce. Lubią lekarskie poradnictwo, a o gruszach, o śliwach, ani o jęczmieniu i owsie — nie idzie. dzisiejszych świadczeniach emerytalnych, o ziemi dla młodych rolników — to może być — mówią mi i biorą czasem. Kobietom i młodym to muszę szukać o miłości, żeby było, jak doszło do narzeczeństwa i małżeństwa, czy im się powiodło, o troskach i radościach. Po serialach pytają o powieści. „Noce i dnie" Dąbrowskiej mocno czytali.

— Zainteresowania mam — mówi o sobie pani Michalina Czwalik. — Ja to w nałóg wpadłam i z tym pisaniem pamiętnika, i z tym czytaniem. Mnie cały świat interesuje, różne zagadnienia. W głowę zachodzę, jak tamci myślą, że im znowu się zbroić tak chcę. Znów ma być to, co było?! Bomby, trwoga, strach wielki? Nerwowa się robię na starość, cierpliwości już takiej nie mam. Te sprawozdania, te liczby, to mi przeszkadzają, nie lubię takiego pisania. Stara się kierowniczka z Siedliska, Jadwiga Baranówna, co jakiś czas mnie tu odwiedza, ale skąd ona weźmie tyle książek i takich, jakie są potrzebne?

Po opublikowaniu jakiegoś fragmentu pamiętnika, w którym było także o współczesnych kłopotach, nadeszła nagle z Warszawy przesyłka.

— Jezu drogi, patrzę paka! Dla dzieci książki, ktoś oczyścił swoją domową bibliotekę. Były w nich fruwające krowy na rysunkach, zagraniczne jakieś, ale nasze dzieci takiej fantazji nie chciały, śmiały się z tego. To dobre było, że chociaż trochę wierszyków się znalazło. Za mało, za mało można teraz w księgarni kupić. Za mało literatury pięknej, za mało, głód jest na takie książki.

Mówimy o czytelnikach, pytam, kto z tych kilkudziesięciu czyta najwięcej.

— „Oj, łatwo tu kogoś przechwalić, ktoś teraz dużo czyta, ale znowu przyjdzie taki czas, że osłabnie, potem wróci i znowu z czasem mu licho. To jest zmienne bardzo, ale zadowolenie wielkie, kiedy znowu przyjdzie ten człowiek, albo dziecko i prosi, żeby mu coś dobrego znaleźć. To jest odpowiedzialność. Ja wiem, że gdy źle wybiorę, nie podoba się, nie zainteresuje, prześle potem przez kogoś książkę, odda, ale znowu przez dłuższy czas się nie pokaże. Ale ktoś to musi robić, bo by na tej wsi w ogóle nic nie było. Ktoś musi, ja to lubię, ale co ja z tymi 260 książkami wielkiego mogę zrobić? Są tacy, co przeczytali już wszystko, co dla ich wieku jest odpowiednie. Dwa razy do roku wymieniam księgozbiór ale wybór taki duży nie jest, nie...

Odjeżdżam. w drewnianym domu na skraju Ksawerówki pali się światło. Pani Michalina już przy mnie wyjęła z wielkiej szuflady, pełnej zapisanych zeszytów, kajet ledwo zaczęty. Zapisze zaraz, że byłem, o czym mówiliśmy. Mija dzień, jak co dzień społecznej bibliotekarki, której nikt nakazać tej pracy nie może i nie musi.

Listy do kameny

„Z NOTATNIKA"

(...) W ciekawych rozważaniach pana (M. A. Jaworskiego w nr 4 „Kameny" — uw. red.) dotyczących dyskusyjnego artykułu na temat modernizacji Bytomia, opublikowanego w miesięczniku „Opole", przewijała się zatroskana myśl o walących się ruderach Lublina. Stąd też pytania — tak rozumiem — które zadał pan sobie w redakcyjnym komentarzu: w jakim stanie znajdowały się mieszkania w budynkach przeznaczonych do wyburzenia w Bytomiu? Czy ich remont był opłacalny?

Jeżeli chodzi o poruszaną sprawę przebudowy fragmentu śródmieścia Bytomia, to stanowisko władz miasta szczegółowo omówiłem w mojej odpowiedzi na list ob. Jerzego Łokcia, opublikowany w numerze 24 „Polityki" w rubryce „Listy do Redakcji" pod mocno przesadnym tytułem „Bytom woła SOS". Nie chciałbym powtarzać wszystkich przedstawianych w tej publikowanej odpowiedzi szczegółów podjętych już od 1965 roku działań zmierzających do przebudowy części śródmieścia. Wystarczy jedynie nadmienić, że projekt przebudowy poprzedzony był publiczną dyskusją, rozpisaniem przez Towarzystwo Urbanistów Polskich otwartego konkursu na opracowanie urbanistyczno - architektonicznej koncepcji zagospodarowania przestrzennego śródmieścia, przeprowadzoną przez specjalistyczne biuro projektów oceną stanu technicznego substancji mieszkaniowej miasta, licznymi spotkaniami z mieszkańcami oraz wnikliwą penetracją służb wojewódzkiego konserwatora zabytków.

Podjęta w wyniku tych i innych jeszcze działań decyzja o przebudowie części śródmieścia obejmuje wyburzenie 24 budynków, z których 19 wykazywało ponad 75 proc. technicznego zużycia, a więc nieopłacalność ekonomiczną ich dalszego remontowania, tym bardziej, że stanowiły one dawno już zamortyzowaną, typową, kapitalistyczną zabudowę czynszowych kamienic. Mające wartość zabytkową detale architektoniczne i fragmenty wyposażenia niektórych wnętrz z okresu eklektyzmu i secesji służba konserwatorska pod nadzorem prof. W. Zina i Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków wymontowała przed wyburzeniem obiektów. Należy przy tym zaważyć, że postępujący z wiekiem naturalny proces dewastacji tych budynków, pogłębiony nie dającymi się uniknąć skutkami eksploatacji górniczej, stwarzał zagrożenie dla życia i zdrowia najemców tych budynków, gdyż nierzadkie były przypadki awarii przewodów gazowych, kominowych i kanalizacyjnych. Wyburzenie budynków na obszarze 1,1 ha pozwoli na zrealizowanie wreszcie koncepcji budowy nowoczesnego centrum usługowo-handlowego, które służyć będzie lepszemu zaspokajaniu potrzeb mieszkańców miasta, jak i północnej części Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego. W tym zakresie zaowocowały wcześniej już nawiązane kontakty z jednostkami, które chcą być inwestorami kompleksu handlowo - usługowego, w szczególności nowoczesnego domu towarowego o powierzchni użytkowej około 15.000 m kw.

Wyburzenie pozwoliło jednocześnie naukowcom na zbadanie śladów dawnych umocnień obronnych średniowiecznego Bytomia, które zostaną zresztą wyeksponowane w nowym wnętrzu urbanistycznym.

Sugerowany więc w artykule „Opola" dylemat: albo ochrona secesyjnej zabudowy architektonicznej, albo modernizacja wielkomiejskiego śródmieścia — faktycznie w Bytomiu nie istnieje. Mamy w tym mieście ponad 600 kamienic z okresu secesji i eklektyzmu, które otoczone są opieką władz miasta i służb konserwatorskich. Przyjęta więc w artykule dyskusyjnym teza, przeciwstawiająca społecznemu interesowi ochrony zabytkowej architektury również społecznie potrzebną modernizację stale rozwijającego się miasta, aczkolwiek bardzo chwytliwa zwłaszcza w stosunku do wielkich aglomeracji miejskich — w przypadku Bytomia nie znajduje żadnego oparcia w realiach. Przykładem tego mogą być następujące dane: w wyniku wyburzeń rozbiórce uległy 193 mieszkania (a nie 630), zaś wartość techniczna zburzonych budynków była niewielka.

Powyższe informacje nie stanowią, w mojej intencji, polemiki z tezami dyskusyjnego artykułu opublikowanego w „Opolu", zwłaszcza, że sprawa została już wyjaśniona na łamach „Polityki". Poczuwam się jedynie do obowiązku przedstawienia szanownemu panu redaktorowi niektórych problemów związanych z przebudową części śródmieścia Bytomia tylko w takim zakresie, w jakim wynika to z redakcyjnego komentarza. Stąd też celowość opublikowania na łamach „Kameny" mojego listu pozostawiam uznaniu pana redaktora. Osobiście myślę, że problemu w takim kontekście, jaki stał się źródłem zainteresowania pana redaktora — po prostu nie ma. Łączę wyrazy szacunku.

mgr Paweł Spyra
Prezydent miasta Bytomia

„TAJEMNICE BAŚNI CODZIENNYCH"

W listach można o wszystkim. Na słowiańską nutę mówił niedawno w „Kamenie" nr 8 Tadeusz Nowak o obrzędach przy budowie dawnych domów. Dziś to dobie głodu mieszkaniowego ludzie nie mają czasu na te rytuały. Zresztą — co kraj, to obyczaj. Przed dziesięcioma laty byłam w Jugosławii. Miałam możność tropić ślady Słowiańszczyzny, a między innymi obyczaje związane z budową indywidualnych domów większych i mniejszych na Glamočkim Polju. Lato jest bowiem najlepszą porą do tych ciężkich prac. Ponieważ tamta okolica obfituje w lasy, wznoszono tradycyjne domy drewniane. Z chwilą, gdy budynek był gotów do pokrycia dachem wynoszono odzież, bieliznę i zawieszano wysoko na krokwi. Musiało tak być do zachodu słońca. Miało to zapewnić dobrobyt w przyszłym gnieździe rodzinnym. Na progu wejściowym od ulicy zabijano młode jagnię, aby przyszłą siedzibę omijały głód i niedostatek. Krwi tej nie należało zmywać. Na roźnie pieczone jagnię dzielono pomiędzy robotników i pomocników budujących dom, a zapijano rakiją (domowa śliwowica). A kiedy sprowadzono się już do gotowego domu, mieszkańcom towarzyszył portret zawieszony na ścianie. Nie księcia, nie baszy tureckiego, nie austriackiej Marii-Teresy, ale tego, który w Glamoču stacjonował podczas II wojny światowej. Najbliższy im, najdzielniejszy, swój i umiłowany Tito.

Teodozja Chojecka
Kraśnik

Rozwiązanie krzyżówki nr 10

Poziomo: Teletyp, markiza, buchalterka, osad, Inka, Asam, Ikar, stora, Aga, Matra, kosmopolityzm, start, iza, szosa, żaba, litr, Urle, atol, awitaminoza, Karpacz, Naprawa.

Pionowo: Togo, laba, plazma, matnia, Iran, Azja, udar, Kira, sztukator, koromysło, sarmata, ametyst, grosz, Kiew, Łazarz, Albion, zaraza, urok, lazer, tama, Lima.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 10 książki otrzymali: Zofia Starmka 20-109 Lublin, Królewska 5/4, Bohdan Bieńkowski 20-325 Lublin, Droga Męczenników Majdanka 13, Jadwiga Sadowska 20-313 Lublin, Łęczyńska 59/31, Wojciech Ziółek 41-719 Ruda Śląska 10, J. Curie 1 woj. katowickie.

POCZTA literacka

Roman L. Bytom. „Zatem zwracam się z prośbą o podanie ręki". Tymi słowami kończy Pan list rekomendujący wiersze. Dwa wiersze dwudziestoletniego autora. Wcale nie twierdzę, że lat za mało, ale wierszy — tak, za mało. Czy jest ich więcej? Czy uznał Pan akurat te dwa, za reprezentatywne? No cóż, zasiądźmy do nich. „Szkic do oniemienia". Przyjmując dyskursywny ton wypowiedzi w tym — tak czy owak — monologu lirycznym, skazuje Pan czytelnika na całe frazesy nie dające się ani logicznie ani nawet emocjonalnie „skonsumować". Są po prostu niespójne, dają przypadkową mozaikę zestawień słownych. Gdyby ten wiersz odczytał aktor o pięknym, mocnym, lecz lirycznym głosie, w scenerii świec i dźwiękach jakichś gitar, może by słuchacze dali się nabrać na całość — posępną i sarkastyczną. Może. Ale tzw. rozbiór logiczny, analiza mechanizmów skojarzeniowych z całą obiektywną bezwzględnością ujawni tę przypadkowość zestawień, a więc brak kontroli, koncepcji lirycznej — słowem brak treści, co łatwo udowodnić linijka po linijce. Choć — nie wszędzie, nie w całym wierszu. Jest tu bowiem mocny, oryginalny dwuwiersz:

„w zamkniętym pokoju obitym
kurzem i spoliczkowanym
twoimi uśmiechami od ucha
do ucha"

Cóż z tego, skoro następny wers brzmi: „ty i ja zalani" co bez reszty niszczy przygodę estetyczną zgotowaną tamtą personifikacją spoliczkowanej ściany. Ale mimo wszystko, zaryzykuję takie stwierdzenie końcowe — jeśli stać Pana na odkrycia w rodzaju ścian spoliczkowanych czyjemiś uśmiechami — to już samo to daje Panu prawo do dalszych zmagań z poezją. Natomiast zupełnie nie potrzebne jest zwracanie się do redakcji „z prośbą o podanie ręki". Nie jesteśmy instytucją charytatywną czy telefonem zaufania. Naszym obowiązkiem jest wyławianie dobrej poezji i jej drukowanie, co nie pozostaje w żadnym związku z podawaniem ręki.

Józef S. Długołęka. Fraszki są celne, ostre, trochę rozgadane i stylistycznie skomplikowane, a jednocześnie za mało aluzyjne, zbyt dosłowne w finale. Ale próbować dalej warto.

Mirosława Cz. Zamość: „lecz dlaczego noc taka (niespokojna włazi we) mnie ze swoimi lękami (sen jest taki bezwstydny) najśmielszy z moich trwań właśnie on wie czego chcę naprawdę". Pani Mirosławo! Ja także się domyślam, czego Pani chce naprawdę. Ale niestety, tego nie da się załatwić korespondencyjnie. Do tego potrzebna jest jakaś sesja wyjazdowa „Poczty literackiej" w Zamościu czy inne sympozjum, na co kierownictwo redakcji zdecydowanie skąpi funduszy. Pisze Pani w liście, że dwa lata temu „Pan redaktor napisał, że wiersze są niezłe, że ma nadzieję... że będzie lepiej". Oświadczam z całą stanowczością: to nie ja, mój poprzednik. Oczywiście, wolno mu było mieć nadzieję. Wasza sprawa. Ja pocztylionem literackim jestem od niedawna i wbrew optymizmowi poprzednika, nadziei tej w sprawie nie żywię.

K. A. Lublin. Dotrwałem do końca humoreski. Suczka Leady nasikała do spluwaczki, co tak rozwścieczyło kowbojów, że wyrzucili z knajpy suczkę, jej panią i same spluwaczki, których wyrzuceniu tak się bohatersko przedtem sprzeciwiali. Szukam więc owej „głębszej myśli", którą w pewnym okresie fachowcy określali mianem idei utworu. Otóż ideą dziełka jest tu chyba paralela cech ludzkich z... oślimi. Jeśli osioł nie chce iść do przodu, trzeba (podobno) zajść go od tyłu i pociągnąć za ogon — ruszy z kopyta. Kowboje zostali ośmieszeni. Jeśli nadeśle Pan humoreskę, w której wystrychnie Pan na dudka jakieś grono intelektualistów — wrażenie będzie silniejsze. Nie pochwalam kpin z ludzi, którzy nie są orłami i mogą spać przy otwartym oknie.

Jarosław O. Kraków. „Często nie potrafię wyznaczyć sobie drogi między bezpośredniością przeżyć, a naiwnością i pretensjonalnością sformułowań". Trudno się temu dziwić — to antynomia rozstrzygająca w twórczości w ogóle. Już nie pomnę, jakimi zarzutami skwitowałem poprzedni zestaw utworów. O nowych mogę powiedzieć tyle: nadal błąka się Pan po różnych poetykach, od wiersza białego po rymy nierzadko gramatyczne, raz po raz odzywają się cudze frazy i sławne określenia w rodzaju „mięso armatnie", „Jeszcze się błąkasz" czy cały wiersz „O włos", będący jakąś trawestacją staffowskiej miniatury z tomu „Dziewięć muz": „Siadł gość nad zupy misą. I widzi włos (Więc woła w głos) Ja wolę zupę łysą". Zatrzymuję „Wawel", lecz nie wiem, czy dobrego wrażenia, jakie osiągnął Pan swoistą animizacją wnętrza muzeum, nie zatrą rymy w rodzaju: „rozrzucone" — zabronione".

H. P.

EKRAN I WIDZ

Laury dla Kurosawy

TEGOROCZNY XXXIII Międzynarodowy Festiwal Filmowy w Cannes, który rozpoczął się 9 maja, należał — zdaniem wielu obserwatorów — do najbogatszych. Wyznaczały jego rangę takie znakomitości reżyserskie jak Alain Resnais, Jean Luc Godard, Akira Kurosawa czy Federico Fellini (choć nie wszyscy z nich brali udział w konkursie); do głównej nagrody pretendowało 28 filmów, pół setki innych pokazywano w ramach przeglądów towarzyszących, licząca 1489 miejsc sala projekcyjna Wielkiego Pałacu Festiwalowego, była, jak zwykle, zapełniona po brzegi.

Akira Kurosawa gościł ostatni raz na canneńskim festiwalu w roku 1956... Czy w 1980 r., gdy stał się już postacią „historyczną", klasykiem kina, wierzył głęboko, że „Kagemusha" — który udało mu się dokończyć tylko dzięki szczęśliwemu zbiegowi okoliczności — zdobędzie najwyższą nagrodę?

Miał dwadzieścia sześć lat, kiedy został asystentem reżysera i scenarzystą filmowym, ale dopiero w roku 1943 zrealizował swój pierwszy samodzielny film, „Legendę o dżudo". Sięgał początkowo przede wszystkim po tematy współczesne, „zaangażowane", których linię tematyczną wyznaczał fakt przegranej przez Japonię wojny i wszystkich wynikających stąd dla narodu konsekwencji. Ale to nie był jeszcze właściwy Kurosawa... W 1950 r. nakręcił „Rashomon", opowieść o zabójstwie, zdradzie i zadośćuczynieniu, relacjonowaną przez cztery różne osoby, z których każda podawała inny punkt widzenia na sprawę i odmiennie interpretowała zaistniałe wypadki. Był „Rashomon" i ponurą balladą, i moralitetem, był zarazem filmem psychologicznym i sensacyjnym. Sięgał do przeszłości Japonii, do opowieści o samurajach — tematyki jeszcze do niedawna zakazanej przez władze okupacyjne, a w Europie czy Ameryce prawie zupełnie nieznanej. Tym większe wrażenie sprawił poetycki „Rashomon" na publiczności i jurorach MFF w Wenecji w 1951 r., gdzie też zdobył Grand Prix. Wkrótce potem przyznano mu w USA „Oscara".

Kurosawa zasłynął jako twórca filmów „samurajskich". Jakże nie miał być bliski ten temat synowi zawodowego oficera kultywującego dawne japońskie tradycje rycerskie; sam Akira oddawał się w młodości studiowaniu kodeksu bushido. Lecz filmy Kurosawy nigdy nie miały wojenno-przygodowego wymiaru; reżyser okazywał się w nich *równie subtelnym psychologiem, tropicielem sprzeczności charakterów ludzkich i stosunków społecznych, co pełnym dynamiki epikiem, patrzącym nie bez ironii na upadek epoki samurajów.* Do historii kina przeszły m.in. „Siedmiu samurajów", „Straż przyboczna", „Sanjuro — samuraj znikąd" czy powstały z inspiracji szekspirowskim „Makbetem" niezapomniany „Tron we krwi". W 1975 r. oglądaliśmy jeszcze innego Kurosawę: doskonały „Dersu Uzała", nakręcony w koprodukcji z kinematografią radziecką.

W „Kagemusha" („Sobowtórze") Kurosawa podjął znowu temat „samurajski". Jakby chciał wrócić do lat artystycznej chwały i przy pomocy swej tradycyjnej broni raz jeszcze zmierzyć się ze światową kinematografią. To wyzwanie zakończyło się sukcesem Kurosawy: otrzymał „Grand Prix".

Fakt, że może by do tego nie doszło, gdyby staremu mistrzowi nie dopomogli w pewnej chwili — finansowo — w dokończeniu „Sobowtóra" dwaj młodzi reżyserzy: Francis Ford Coppola, twórca „Ojca chrzestnego", oraz George Lucas — autor „Gwiezdnych wojen".

M.B.

OKOLICE SZTUKI

Kongresowe marzenia

WROCŁAWSKI Kongres Upowszechniania Kultury Plastycznej (12—13 maja) przejdzie niewątpliwie do historii: jako pierwsza tego rodzaju debata w powojennej Polsce, jako spotkanie nieco marzycielskie, choć przedstawiające realne uwarunkowania i potrzeby rozwojowe tej sprawy, która wabi się „sztuka w społeczeństwie".

Na temat ten pisano w kraju i gadano wiele, ale w gmachu Politechniki Wrocławskiej okazało się, jak dużo jeszcze pozostało do powiedzenia, przede wszystkim zaś — do zrobienia. Kongres obradował na sesjach plenarnych i w sześciu sekcjach: upowszechniania sztuk plastycznych, roli systemu szkolnego w rozwoju kultury plastycznej, kształtowania środowiska człowieka, wzornictwa przemysłowego, wymiany z zagranicą, twórczości i warunków jej rozwoju — a w każdej dyskutowano ostro i sensownie, o czym świadczą liczne wnioski, przedstawione na końcowym posiedzeniu. Zmuszony właśnie (trudności papierowe) do ograniczenia „Okolic sztuki" do dwóch stron maszynopisu, czytelnikom tej rubryki, którą prowadzę od 12 lat, mogę zreferować tylko wybrane problemy i postulaty wrocławskiego spotkania; redukcja ta nie ma zresztą większego znaczenia.

Tak zatem sekcja pracująca pod kierunkiem Jerzego Kossaka stwierdziła konieczność zwiększenia informacji o plastyce w gazetach i czasopismach.

W tym samym zespole dostrzeżono potrzebę uruchomienia w Warszawie stałej galerii sztuki współczesnej, jakby podpierając wypowiedź Janusza Kaczmarskiego, jeszcze prezesa ZG ZPAP, na sesji plenarnej otwierającej kongres. Znany i dobry malarz domagał się faktycznie czegoś więcej, bo utworzenia całego centrum wystaw, badań i dokumentacji sztuki współczesnej, kończąc swoją kwestię cytatem z Juliana Marchlewskiego: — Każda rewolucja domaga się chleba i udziału w twórczości! Pointa wzbudziła entuzjazm ponad 600 słuchaczy — plastyków, naukowców, krytyków, architektów oraz tu i ówdzie rozsianych po sali działaczy kulturalnych. Występujący po J. Kaczmarskim wiceminister kultury i sztuki oraz autor książki „Sztuka i społeczeństwo w programie artystycznym polskiego modernizmu", Władysław Loranc, poinformował zatem, że resort przeznacza oto dom braci Jabłkowskich (do niedawna wielki sklep z obuwiem) przy warszawskiej ul. Brackiej na muzeum sztuki współczesnej, aby w późniejszym terminie przystąpić do budowy nowego obiektu.

Ci, którzy zastanawiali się nad rolą szkoły w rozwoju kultury artystycznej, zauważyli — ku pewnemu zaskoczeniu audytorium — że kształcenie nauczycieli wychowania plastycznego w obecnym rytmie gwarantuje nam zaspokojenie potrzeb kadrowych szkolnictwa gdzieś za lat 75. Stefan Kościelecki z UMK w Toruniu wskazał jeszcze na brak stosownych pomocy dydaktycznych, a to na przykład plasteliny.

Referujący przebieg dyskusji w sekcji „Kształtowanie środowiska człowieka" Jerzy Hryniewiecki nie ukrywał, że jej uczestnicy wystąpili z ostrą krytyką stanu istniejącego, najwięcej uwagi poświęcając budownictwu mieszkaniowemu i potrzebie integracji działalności architektów i plastyków już w fazie projektowania osiedli. Przypomniało mi się wówczas, że na zbliżony temat rozmawiano w 1945 roku, podczas pierwszego po wojnie zjazdu ZPAP, któremu przewodniczył ten sam Stanisław Teyssere, zasiadający w prezydium wrocławskiego kongresu.

57 osób rozważało zagadnienia wzornictwa przemysłowego, aby dojść m.in. do wniosku, że pilne wznowienie prac Rady Wzornictwa, afiliowanej przy bardzo wysokiej instancji państwowej, wyjdzie na dobre nam wszystkim...

Kongres nie podjął uchwały, ale plon jego pracy zostanie opublikowany w przyszłości.

IJK

KRONIKA KULTURALNA

◆ Wystawy plastyczne, spektakle teatralne, widowisko plenerowe na dziedzińcu Zamku, znakomicie obsadzone Spotkania Wokalistów Jazzowych, kiermasze handlowe, impreza podsumowująca szósty turniej dzielnic — oto niektóre tylko punkty programu tegorocznych „Dni Lublina", trwających ponad trzy tygodnie i zakończonych 25 maja.

◆ Także do 25 maja świętował swoje „dni" Nałęczów. Obok muzycznego „Divertimenta", zwracała uwagę wystawa — rezultat ogólnopolskiego pleneru rzeźbiarskiego pt. „Postaci nałęczowskie". 14 rzeźbiarzy krajowych i jeden Węgier przez rok kształtowało wizerunki znanych osobistości, w taki czy inny sposób zasłużonych dla uzdrowiska.

◆ Seria „Dokumenty naszej tradycji" (rewolucyjnej, ludowej), publikowana od pewnego czasu przez Wydawnictwo Lubelskie we współpracy z wybitnymi naukowcami, otrzymała Nagrodę Specjalną im. Wincentego Rzymowskiego, co wypada uznać za niemały sukces. Serdecznie gratulujemy!

◆ W Kraśniku odbył się XII Krajowy Festiwal Pieśni o Ojczyźnie. Nieco wcześniej obchodził swój szczególny jubileusz tamtejszy Zakładowy Dom Kultury; życzymy placówce dalszych sukcesów.

◆ Jeszcze raz Kraśnik: 27 maja otwarto tam wystawę poplenerową malarstwa.

◆ Ciekawy i urozmaicony był program tegorocznej IV Studenckiej Wiosny Plastycznej, zorganizowanej przez studentów Instytutu Wychowania Artystycznego UMCS i Radę Uczelnianą SZSP. Wiele wskazuje na to, że impreza zadomowiła się w pejzażu kulturalnym Lublina.

◆ Dwie bardzo dobre wystawy malarstwa można było zobaczyć w maju w lubelskim BWA: Jerzego Sterna, klasyka naszej sztuki nowoczesnej, oraz Macieja Modzelewskiego, artysty z kręgów młodszej generacji, związanego z twórczością figuralną.

◆ Zamościanie dbają o pamięć swoich rodaków, rozsianych w różnych częściach Polski. Oto 20 maja w salonie tamtejszego BWA otwarto „Wystawę prac artystów plastyków wywodzących się z Zamościa i Zamojszczyzny", w której uczestniczyło kilkudziesięciu autorów. Wielu z nich pojawiło się na wernisażu, potwierdzając sensowność urządzania podobnych ekspozycji.

◆ Zarząd Miejski ZSMP, spółdzielnia mieszkaniowa, WRZZ i WDK w Białej Podlaskiej doprowadziły do uruchomienia w tym mieście ambitnej — sądząc z zamierzeń — Galerii Fotografiki Socjologicznej. Pierwszy pokazał w niej swoje prace Andrzej Brzeziński z Warszawy. W planie inne wystawy, dyskusje teoretyczne, a nawet praktyczna nauka wykonywania zdjęć.

◆ Kilkudziesięciu specjalistów i wcale liczna grupa obserwatorów — oto uczestnicy międzynarodowej sesji „Teatr wobec tradycji ludowej", która odbyła się w Lublinie jako impreza towarzysząca II Międzynarodowym Spotkaniom Teatralnym w stolicy. „Gardzienice" mogą mieć powód do satysfakcji.

◆ Lubelski teatr studencki „Grupa chwilowa" reprezentowany był przez Krzysztofa Borowca i Grzegorza Korbę na międzynarodowym festiwalu młodych teatrów w portugalskiej miejscowości Coimbra, dokąd zjechało 20 scen europejskich w celu wymiany doświadczeń.

◆ Mówi się, że część kaplicy św. Trójcy na lubelskim Zamku, konkretnie: prezbiterium, zostanie udostępniona zwiedzającym „jeszcze w tym sezonie turystycznym". Pożyjemy, zobaczymy...

Kamena str. 11

LUBARTOWSKIE KRYSZTAŁY

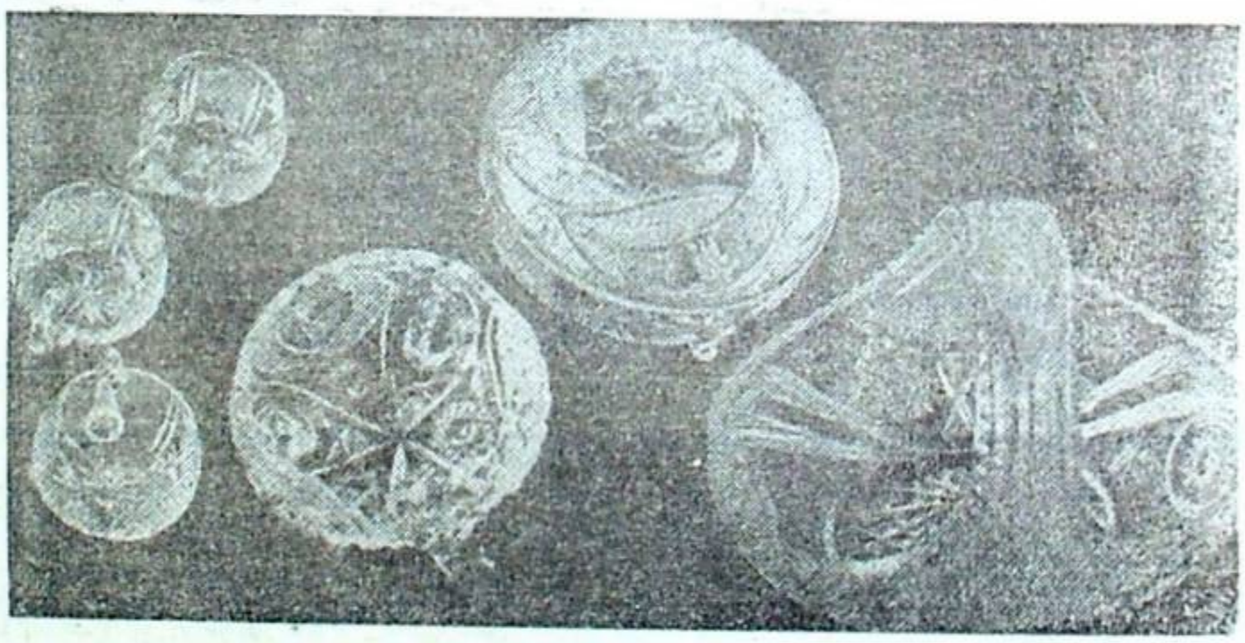

WYROBY LUBELSKICH HUT SZKŁA W LUBARTOWIE FOT. WALDEMAR STEPIEŃ

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 37 LATY

● **Więzienie tutejsze wskutek łaski Monarszej w części z przestępców opróżnione zostało, niektórzy z nich swobody swej nieco nadto używają, zamiast bowiem wrócić do swych miejsce zamieszkania i uderzywszy się w piersi zająć się pracą, aby życie poprawić, wolą pozostając w Lublinie włóczyć się po sklepach i domach domagając się pieniędzy a nawet nie szczędząc pogróżek w czasie odmowy.**

● **W ogrodzie miejskim naszym różnych nieproszonych gości spotkać można, jak o tym nieraz dokładnie pisaliśmy. To pisanie nasze niewielki odnosi skutek, bo coraz większa ilość brytanów przyprowadzana jest przez właścicieli na spacer, a i ilość żebraków coraz liczniej ulice zalega. Żebracy ci są dziwnego gatunku, żaden z nich prosty nie jest, lecz albo zgarbiony, albo utykający na nogę lub wcale władzy w nogach pozbawiony. Jeden taki przed kilkoma dniami, gdy publiczność zasiadła ławki, czołgał się, pomagając sobie rękoma wokół, a każdy nieszczęśliwemu kalece z datkiem przyspieszał. Niespodzianie zjawił się strażnik i podszedł do kaleki. Możecie sobie wyobrazić, jakie było zdziwienie litujących się nad jego stanem ofiarodawców, gdy mniemany paralityk, zobaczywszy stróża bezpieczeństwa, o paraliżu zapomniał, zerwał się na równe nogi z malutkiego skurczonego nieboraczka wyrósł odrazu na cztery łokcie prawie i dając duże kroki, zmykać począł. Strażnik dogonić go nie zdołał, a publiczność głośnymi brawami nagrodziła szybkobiegacza.**

● **Przeżył 50 lat, przeszło ćwierć wieku jest oficerem, a po raz pierwszy dopiero w tych dniach w Lublinie kolej zobaczył. Jest to oficer straży pogranicznej, który przez 10 lat urzędował w Elizawetgradzie, a od lat 18 urzęduje w okolicach Sandomierza i dalej jak do tego miasta nigdzie nie wyruszał i teraz dopiero nastręczyła mu się sposobność usłyszenia świstu lokomotywy.**

„Gazeta Lubelska"

PRZED 50 LATY

● **W zeszłym tygodniu** zapowiedziano za pośrednictwem prasy i afiszów odczyt p. Magdaleny Samozwaniec w kinie „Apollo" na temat „Z Gdyni „Gdynią" do Kopenhagi". Dochód, jak zapowiedziano miał być przeznaczony na ligę Morską i Rzeczną. Cel ten ściągnął do kina poważne grono publiczności. Stał się jednak skandal prelegentka po ok. 10-minutowym występie oświadczyła, że dalej mówić nie może, bo nie przygotowano lampy do przeźroczy i z estrady zeszła. Wśród publiczności nastąpiło oburzenie. Wyglądało to wszystko na zwykłe nabieranie publiczności i jej lekceważenie. Wielu zwróciło się do kasy o zwrot kosztów wstępu, ale cóż, pań z biletami nie było. Wywołało to jeszcze większe oburzenie. Kto organizował ten odczyt? Wszyscy byli przekonani, że Liga Morska i Rzeczna nie miała z tym odczytem nic wspólnego. Odczyt organizowała Sanacyjna Obywatelska Praca Kobiet. Liga Morska i Rzeczna tylko ucierpiały na opinii.

● **Biuro prawne Magistratu rozesłało** prasie lubelskiej komunikat w sprawie objazdu prowizorycznego na ulicy Wojennej. Magistrat zakomunikował, że na czas regulacji ul. Bychawskiej polecił wysypywać gruzem cegłowo-kamiennym odcinek jezdni ul. Wojennej i wyrównywać wyboje, a widocznie nie ufając tym doraźnym poczynaniom, zarządził pogotowie cegłano-kamienne na ul. Bychawskiej, którego zadaniem jest podsypywanie nowopowstających wyboi na prowizorycznym objeździe. Ktoś kto złapał się na ta magistracka wędkę i spokojnie zamierzał przejechać po tym objeździe, samochodem, zaalarmował nas z rana gwałtownym dzwonkiem telefonu, błagając pomocy bo ugrzązł w tym gruzie, tak dokumentnie, że trzeba aż armatniego zaprzęgu (pogotowia magistrackiego nie było), by maszynę wyciągnąć. Uważamy, że magistrat nie powinien tak lekkomyślnie igrać z życiem ludzkim i słodkimi zapewnieniami zwabiać obywateli w karkołomne pułapki.

„Głos Lubelski"

Wybrała:
Anna Orzechowska